



Wacław Szymanowski. „Macierzyństwo”.

W przededniu gorączki emigracyjnej.



Uak przepowiadają i stwierdzają znawcy stosunków wychodźczych, znajdujemy się znów w przededniu wielkiej gorączki emigracyjnej, która w najbliższym czasie popchnie tysiące, a może i krocie naszego ludu roboczego za Ocean, aby tam szukać zarobków, poprawy doli, lub nawet własności rolnej na przystępnych i dogodnych warunkach. Tym razem główna siła emigracyjna rzuci się ku południowej półkuli, przeważnie w stronę Brazylii. W przewidywaniu nowej a wielkiej fali wychodźczej, by nie zaskoczyła ona niespodziewanie, czynią się różnorodne zabiegi i przygotowania. Centralne nasze Tcw. Rolnicze delegowało do Brazylii swego reprezentanta, doświadczonego podróżnika i korespondenta, p. Ludwika Włodka, który udał się już na miejsce przed kilku tygodniami, aby tam zbadać warunki miejscowe, zebrać dane, porozumieć się z władzami, a przede wszystkim zasięgnąć wskazówek od wybitniejszych osobistości z pomiędzy wychodźstwa polskiego, przebywającego w Brazylii już od dawna,—wszystko w tym celu, by wedle możliwości prąd emigracyjny zwrócić na właściwe drogi, nadać mu kierunek dla wychodźców najkorzystniejszy i tym sposobem łatwociernym i niedoświadczonym, a pozostającym zwykle na łasce niesumiennej agenta i różnorodnych wyzyskiwaczy, oszczędzić zawodu, strat, nędzy, niebezpieczeństw, a nie rzadko i strasznej zagłady. Inicjatywa nowego ruchu emigracyjnego wyszła od rządu brazylijskiego, który, potrzebując gwałtownie rąk roboczych do swych olbrzymich a odległych leżących obszarów rolnych i leśnych, obiecuje pod różnemi postaciami złote góry przybyszom z przeludnionej Europy, zalewając ją w tym

celu delegatami i agentami. Jak wiadomo, jeden z takich delegatów bawił niedawno we Lwowie, nawiązując tamże pertraktacje na korzyść przygotowującego się ruchu wychodźczego.

Wobec tego wszystkiego postanowił „Świat“ zająć się kwestyą emigracji wszechstronnie i wyczerpująco. Aby sprostać zadaniu, zwróciliśmy się przede wszystkim do znawców i do specjalistów w kwestyi wychodźczej, tak w Polsce, jak w Brazylii samej.

Posłuchajmy więc najpierw, co o sprawie tej myśli i mówi dr. Stanisław Kłobukowski, jeden z wytrawnych i doświadczonych badaczy i działaczy na polu emigracji. P. Kłobukowski bawił przez dłuższy czas w Brazylii, gdzie poznał warunki miejscowe gruntownie, a powróciwszy stamtąd, brał zawsze czynny i gorliwy udział we wszystkim, co ruchu wychodźczego od nas dotyczyło. Obecnie, na pierwszą wieść o przygotowującym się nowym prądzie emigracyjnym, udał się p. Kłobukowski do Lwowa, gdzie na spółkę z p. Józefem Okołowiczem, również dokładnym znawcą spraw wychodźczych, założył (w październiku r. z.) pismo, wyłączenie kwestyom tym poświęcone, p. t. „Polski przegląd emigracyjny“. Pismo to, dalekie od wszelkich celów spekulacyjnych, ma wyłącznie to na myśli, aby ogół pouczyć i oświecić co do znaczenia, warunków, a zarazem przypuszczalnych szans — *pro i contra*—oczekwanego ruchu wychodźczego w stronę przeciwległej południowej półkuli. Głos więc, jaki na wstępie do kwestyi emigracyjnej za-

biera w „Świecie“ p. Kłobukowski, pochodzi niewątpliwie od rzeczywistej powagi w tej mierze, której warto posłuchać. *Red.*

I.

Przyczyny wychodźstwa.

Wychodźstwo z Europy do innych części świata jest obecnie największą ze wszystkich znanych w dziejach wędrówek ludów. Tak więc: Ameryka i Australia—całe, a znaczne części Afryki i Azji są zamieszkałe przybyszami z Europy, krzewiącymi dalszy ciąg rozwojowy społeczeństw europejskich, tworząc nową Anglię, Hiszpanię, Portugalie, Francję, Danię, Holandję, Włochy, Rosję, Niemcy.

Czy brak dotąd nowopolskich społeczeństw? Mniej liczne wędrowki innych narodów wydały przecie społeczeństwa i państwa, żywotne i potężne; a każdy naród korzysta ze swego wychodźstwa w celach kulturalnych i ekonomicznych.

Tow. handlowo-geograficzne, instytucje, wyrosłe na prądzie ekspansywnym narodów, stały się w ostatnich czasach najważniejszymi roznosicielami kultury rodzimej; dopiero w ślad za ich pomyśłami i podróżnikami nawiązały się stosunki handlowe, powstały konsu-

laty, ruszyły wyprawy zbrojne.

Dawniejsze polityczne emigracje z Polski nie mogły się liczebnie równać z obecnymi, ekonomicznymi.

Teraźniejsze wychodźstwo jest tłumne, zarobkowe, za chlebem. Rozpoczęło się w krajach polskich około 1871 r., po wojnie francusko-niemieckiej, pociągnięte przez ówczesny niemiecki prąd emigracyjny.

Sprawa emigracyjna wyjaśniana była u nas przez Zjazdy (Prawników i Ekonomistów 1889 r. we Lwowie i 1893 r. w Poznaniu), specjalne pisma i wydawnictwa, wycieczki do osad polskich. Obecnie rozróżniamy wychodźstwo *stałe i czasowe* i dzielimy je na 3 główne prądy: do *Stanów Zjednoczonych, Niemiec i południowej Brazylii*.

Szalony rozwój ekonomiczny *Stanów Zjednoczonych* potrzebuje coraz więcej rąk do pracy.

Wytwórczość na olbrzymią skalę zdobywa bajeczne dochody i pozwala na największą w świecie stopę zarobkową. Magnes ten przyciągnął w 1906 r. 1,214,386 wychodźców, w latach 1870—1905: 15,811,000, w latach 1821—1905: 23,105,153—najpiew z krajów ludniejszych Europy zachodniej (Irlandyi, Anglii, Holandyi, Niemiec), a następnie



Dr. Stan. Kłobukowski, redaktorzy „Przegl. emigr.“ we Lwowie.



Julian Okołowicz, „Przegl. emigr.“ we Lwowie.

z ę środkowej (Włoch, Niemiec, Słowiańszczyzny).

Uwłaszczenie w krajach polskich pomnożyło źródła dochodu i zarobku i dało im możliwość podwoić u siebie ludność. Niestety, ziemie polskie nie doznały w należytej mierze innych udoskonaleń społecznych i nie mają takiego przemysłu i tak postępowego gospodarstwa rolnego, przy których byłoby możliwe, żeby miały należyte utrzymanie (zarobek i dochód) rzesze coraz liczniejsze, pochodzące z przyrodzonego wzrostu ludności i wykazujące coraz większe potrzeby kulturalne.

W trakcie tego nastąpiły także niebawem ułatwienia komunikacyjne do zaczarowanego kraju, skąd szerzą się wieści o wysokich zarobkach. Cóż więc dziwnego, że ruszyło tłumne wychodźstwo polskie za zarobkiem?

Wychodźstwo jest zarobkowe i czasowe, o ile temu ostatniemu przymiotowi nie stanie na zawadzie odległość zbyt wielka. Zarobione pieniądze przesyłają rodzinom w „starym kraju”, lub przywożą sami, głównie w tym celu, by zakupić kawał ziemi ojczystej.

W Ameryce północnej emigranci polscy zachowują niezgorzej (jak dotąd niemal w 3-ciej generacji) właściwości swojskie. Wyrabia się nawet odrębny typ fizyczny polsko-amerykański... Ślady biedy znikają, wytwarza się człowiek średniego wzrostu, krępy, ze świeżą cerą, ruchliwy, blondyn. Żywiół polski łączy się w potężne organizacje, jak: Wojskowe, Sokółów, Śpiewaków, a zwłaszcza Związek Narodowy Polski i Zjednoczenie Rzymsko-Katolickie.

Z trzech milionów Polaków ludzkość, a przede wszystkim Stany Zjednoczone, mieć będą niewątpliwie pociechę. Lecz czy prąd emigracyjny w morzu amerykańskim nie zatraci, wedle wyrażenia d-ra Caro, „wód swych rodzimost i dumnego początku wspomnienie?” Pytanie, na które *dziś* niemożliwa odpowiedź. Pod pewnym względem istnieją w Ameryce lepsze warunki rozwoju kultury ojczystej (np. językowej), aniżeli nieraz pod obcym panowaniem w Europie. Rozumieją to Polacy amerykańscy coraz lepiej, starając się też coraz usilniej o własne wyższe wykształcenie. W tem istotnie jest ratunek.

Wychodźstwo polskie do Stanów Zjednoczonych przelewa się częściowo do Kanady, a cokolwiek do Meksyku i Kuby.

Niebawo w Europie rozkwit ekonomiczny Niemiec po 1871 r. wywołał też, jak w Ameryce, potrzebę rąk do pracy.

Wychodźstwo do Niemiec, znajdujące się w odmiennych warunkach, których na tem miejscu poruszać nie będziemy, przelewa się częściowo na rolne—do Danii i Szwajcaryi, oraz w centra przemysłowe—do Anglii. Wychodźstwo czasowe do Europy zachodniej dochodzi do 350 tys. Polaków; na stałe w Niemczech osiadłych liczą 200,000.

Pieniądże, zarobione w Europie i Ameryce, tworzą podstawę siły zakupczej ludu polskiego w walce o ziemię ojczystą we wszystkich trzech dzielnicach. Niepodobna mieć statystycznych danych o tem, co przywożą wychodźcy nasi w kieszeniach, butach i pończochach, a jeszcze trudniej ocenić na pieniądzu takie zyski, jak: doświadczenie, wyrobienie, otarcie się z wyższą kulturą, uspołecznienie, a nawet utrwalenie uczucia patriotyzmu. Same małe przysyłki pocztowe na banki i instytucje finansowe niemieckie, czeskie i polskie, podlegają jedynie przybliżonej ocenie. I tak do Galicyi tą drogą przypływa pono rocznie około 25 milionów koron, pod panowanie Rosyi kilkanaście milionów rubli, do społeczeństwa polskiego w Cesarstwie Niemieckiem nie mniej, niż 30 milionów marek. Liczby te należy sprawdzać; pewnem jest w każdym razie to, że są znaczne.

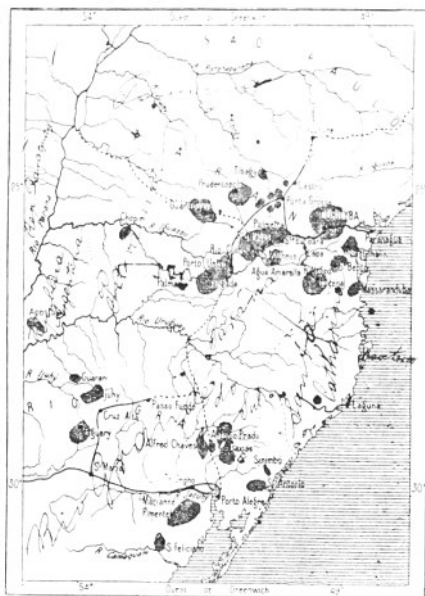
Teraz pytanie: ileż miliardów te ręce polskie wytwarzać muszą na obczyźnie. Albo—mówiąc językiem Marx'a: jaką miliardową nadwartość wytwarzają u obcych, skoro się wie, że przybyłe polscy są właściwie wykrysiwani i przybyciem swoim obniżają stopę zarobkową. Postępowe gospodarstwo rolne, rozwój przemysłu i udoskonolenia społeczne zachowałyby w kraju cenne te maszyny robocze wraz z miliardami, które one wytwarzają.

II.

Osadnictwo polskie w Brazylii.

Wychodźstwo polskie do Brazylii południowej z odpryskami prądu emi-

Mapka podług d-ra Józefa Siemiradzkiego, prof. geologii przy wszechn. lwowskiej.



OBJAŚNIENIA DO MAPY:

- kolej żelazna,
- - - - - kolej projektowana,
- granice Stanów Brazylijskich.

— ziemi, zajęte przez kolonistów polskich.

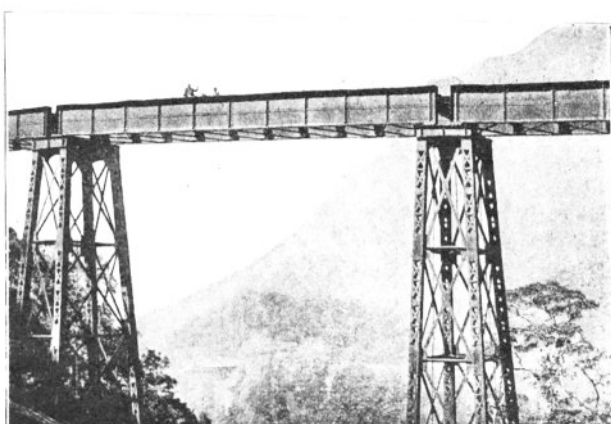
Mapa przedstawia cztery stany południowej Brazylii: S. Paulo, Parana, Santa Catharina, Rio Grande do Sul, oraz sąsiednie działy Paragwaju i Argentyny.

gracyjnego do Argentyny, Afryki południowej i Australii, należy do wychodźstwa stałego, a to z dwóch względów: z powodu znacznych odległości i dlatego, że wychodźca osiada na roli. Mały tylko procent bierze się do rękodzieł i przemysłu. Zwiedzałem nawet liczne osady rolne, złożone z samych robotników fabrycznych i rękodzielników warszawskich i łódzkich. Siły zakupczej gruntu nie dostarcza ono ojczyźnie. Ale za to ułożyło się korzystnie dla zachowania i rozwijania właściwości swojskich przez to, że znajduje się stosunkowo odosobnione i nie ściera się z żadną przeważającą naprawdę kulturą.

Ramy tego osadnictwa tworzy wielkie płaskowzgórze południowo-brazylijskie, obejmujące mniej więcej przestrzeń dawnej Rzeczypospolitej Polskiej.



ANTONINA, miasteczko portowe w zatoce Paranağua.



Most kolei żelaznej z Paranağua do Kurytyby (w Paranie).



Las araukaryi. (Sosny południowo-amerykańskie).



Góra Marumby na drodze z Paranagua do Kurytyby.

Rozpoczyna się ono zaraz za górami nadmorskimi (Serra do mar), tworzy płaszczyzny, poprzecinane kilku mniejszymi systemami gór z terenem, obniżającym się stopniowo ku zachodowi, aż do rzeki Parany. Dźwiga ono najważniejszą część ziem stanów S. Paulo, Parana, Santa Catharina i Rio Grande do Sul. Klimat na niem z powodu znacznej wysokości nad poziomem morza i względnego oddalenia od równika jest ciepło umiarkowany, jak na wyspach Kanaryjskich, cieplejszy w miarę opuszczania się terenu, chłodniejszy w miarę podnoszenia nad poziomem morza.



Wnętrze lasu paraibuna.

Systemy gór i wód nadają pewną różnorodność ziemiom płaskowzgórz. Walczą na niem o przewagę góry z płaszczyznami i lasy ze stepami. Wyodrębnia się najwięcej wązka kraina nadmorska, odznaczająca się klimatem cieplejszym i mniej zdrowym.

Ziemie górzyste mają lepszą ziemię, niż płaskie; a im żyźniejsza, tem gęstszy pokrywa je bór. Bujność roślinności daje miarę urodzajności gleby. Płaszczyzny lub lekko falujące tereny porastają trawą (stepy, *campos*), a czasem świecą łysiną skalistą.

Bez badań chemicznych, na pierwszy rzut oka las o wielkich drzewach

z gęstem krzewiem pomniejszem, zwłaszcza z trzciną, zwaną *putinga*, oznacza w Brazylii ziemię, zdatną do uprawy (*terra de planta*), dającą plon obfity bez mierzwę niezmordowanie przez lat 20. Ziemię zaś bezdrzewną lub z borem rzadkim o małych drzewach Brazylianie określają, jako nieużytek (*terra que non presta*—ziemia nic nie warta). Nieużytek taki jednakże, wedle pojęć europejskich, bywa prawie zawsze doskonałą jeszcze glebą.

Największe skupienia Polaków znajdują się w środku płaskowzgórz, na którym się wykrawa stan Parana o 240,000 kilometrów kw. (Królestwo Polskie ma 127,313 kw.). Wogóle kolonizację polską w Brazylii można podzielić na 3 części: 1) Okolice Kurytyby, stolicy stanu Paraibuna. 2) Odleglejsze od Kurytyby kolonie. 3) Osadnictwo polskie w sąsiednich Paranie stanach: S. Paulo, Santa Catharina i Rio Grande do Sul.

Do środka płaskowzgórz (do stolicy stanu Parana) prowadzi jedna z piękniejszych kolei żelaznych na świecie. Jest ona arcydziełem sztuki inżynierskiej. Zaniechano przeprowadzenia szyn szlakiem utartym, a przeprowadzono ją zuchwale przez góry najwyższe.

O parę stacyi za Paranaguą już zaraz od Morretes, stacyi gałęzi kolejowej do Antoniny, kolej żelazna, biegnąca dotąd po płaszczyźnie nadbrzeżnej, zaczyna się wznosić, odkrywając coraz rozleglejsze widoki na zatokę morską i olbrzymie górskie, które rosną w miarę podjeżdżania ku chmurom. Rozpoczyna się jazda nad ogromnymi zawrotgłowami.

Przestrzeń ta górską zupełnie jest niezaludnioną. W małym już oddaleniu od przeprowadzonej kolei, po obu jej stronach, noga ludzka jeszcze nie stanęła i pewnie nigdy nie stanie. Widzimy tam przyrodę w stanie dzikim, przełatujemy nad nią i wśród niej, jak ptaki wędrownie.

Przejeżdża się przez przeszło 10 tuneli i wiele mostów artystycznych, przylepionych do skał, jak gniazda jaskółcze, po których przejeżdża pociąg z calem bezpieczeństwem.

Przeleciawszy obok niebotycznych kopców i wież skalistych, oraz nad potwornymi wąwozami bez dna, wbiega się na sam grzbiet pasma nadmorskiego. Następnie jakby już z drugiej je-

go strony pociąg wjeżdża i mknie wzdłuż ogromnego potoku kamienistego, początku rzeki Ipiranga, która spływa wężykowato w pianach.

Ukazuje się w wielkiej ilości dziwna sosna *Araucaria*, wysoka, prosta, jak świeca, obnażona z gałęzi od spodu do szczytu, który dopiero tworzą konary poziomo, rozrosłe w kształt parasola, lekko w tulipan odwróconego.

Wjeżdża się do doliny, po której wciąż dalej wije się droga szlakiem Ipirangi, widocznie bardziej kręta, niż potrzeba. Pochodzi to stąd, że stan Parana zagwarantował 5% dochodu przedsiębiorstwu kolejowemu, obliczając koszt budowy 1-ego kilometra drogi żelaznej na 30.000 milrejsów (albo franków) złotem. Przeto, im droga jest dłuższa, tem poręka rządowa jest większa i pewniejsza, a zresztą taniej jest wymijać nierówności terenowe, niż je przekopywać.

Na 115 kilometrów od Paranaguą dojeżdża się do Kurytyby, stolicy stanu Parana.

Jest to punkt centralny osadnictwa polskiego w Brazylii. Ztąd promieniuje ono na wszystkie strony, zajmując większe i mniejsze przestrzenie, jak to wyraźnie wskazuje zamieszczona powyżej mapa poglądowa. I dziś, jeśli



Kaktus w okolicy Rio Claro, oddalonej od kolonii polskiej o kilka dni jazdy kolejną lub parostatkiem od Kurytyby.

fala emigracyjna szerokiem znów od nas popłynęła korytem, zwróci się ona prawdopodobnie ku tej samej stronie, idąc szlakiem jako tako już utartym, do kraju, posiadającego dużo warunków ku temu, aby się osadnictwo nasze

mogło w nim z korzyścią rozwijać i zorganizować samodzielnie w sposób, zabezpieczający wychodźcę polskiego od utonięcia w masie emigracyjnej i zatracenia swych cech narodowych.
DN. Stanisław Kłobukowski.



Kaz. Tetmajer.

Król Andrzej.

POWIEŚĆ.

16

Cofnął się i znów pochylił naprzód i prawie wyciągnął w powietrzu nad ciałem księżniczki.

Ale jej się nie dotknął. Nie dotknął nawet ustami ust śpiących.

Nagle ogarnął go żal. Objął rękoma jej stan, podsunął pod nią dłoń, splótł je i uniósł ją trochę nad posłanie. Wążył się — wahał. Żądza szarpała nim, że drżał i dygotał cały. Przytykał prawie pierś swą do jej piersi i ustami prawie że muskał usta...

I znów podniósł się i wyprostował z szeptem: Dalila... Dalila...

A gdyby rzucić wszystko, porwać ją, tak jak jest, śpiącą, uwieść, uciec z nią...

Oddechała równo, rytmicznie, spokojnie...

Gdyby usłyszał z tych ust słowo: Kocham...

Kocham — od niej...

Gdyby opłótł mu ramionami szyję, przycisnęła się do niego...

Gdyby się uczuła cała jemu oddana, tylko jego własność, tylko o niego oparta...

I ta olbrzymia jego moc gdyby była tym łańcuchem wypreżonym, na którym ona, kładąc rękę, przejdzie bezpieczna i pewna nad morskie czeluście i gardła przepaści...

I gdyby ta olbrzymia moc, którą on czuje i posiada w sobie, była, jak lew wierny u nóg swojej pani, — straszny, gdy skoczy jej bronić...

I gdyby tę jej młodą, cudną, dumną królewską głowę zgnać do stóp swoich!

Żeby od stóp jego modliła się doń, wznosiła doń oczy, jak do bóstwa...

I żeby móc w tryumfie kroczyć w jej miłości, jak jeleni brodzi w bujnej, pachnącej trawie sam...

Gdyby kochała...

Gdyby to jej młode, cudne, dum-

ne królewskie ciało drżało pod dotknięciem jego ręki.

Gdyby nią w dzikim uścisku żądza oświadczyła w czas oddawania się, a z ust jej wybiegały krótkie, nieprzytomne, rwane szept, wśród podrzutów, kołysań się, uderzeń i cofań przepysznego ciała...

A dusza jej?...

Polan wstrząsnął ramionami.

Zmiażdżyć ją w uścisku, zgnieść w rozkoszy, zwinąć do nóg swoich i runąć z nią razem we wściekłym zawrocie na dywan, pełen puchu i woni...

Na zegarze więziennym wybiło wpół do dziesiątej.

Polan wstał z łóżka, popatrzał na śpiącą księżniczkę, pochylił się nad nią i usta swoje sklecił z jej ustami.

Ssał je i pił.

Ah! Ulec samemu sobie — to znaczy upaść raz na zawsze!

Zgwałcić ją — to znaczy zgwałcić własne życie swoje...

Więc oddał się od jej sennych ust i wybiegł z celi.

Ona zaś otworzyła szafirowe oczy i spojrzała za nim przy bładem świetle więziennego kagańca.

We dwie godziny później flota spalacka wyruszyła z portu w dwu kierunkach. Kontradmirał Koszuticz płynął ku Peskarze, kapitan regaty Petrowicz, mianowany drugim dowódcą floty przez Polana, ku Ankonie. Na pokładzie flagowego statku kapitana Petrowicza stał Polan. Statek zwał się „Albatros”.

Fala była powolna i leniwa, statki szły gładko, prawie bez chwień. Na niebie jaśniała noc.

Polan patrzył w przyszłość.

Tysiące gwiazd płonęły na niebie jasnością przezroczystą i niezrównaną, pełne barw i blasków błękitu, złota, szafiru i świetlistej czerwieni.

I tysiące światła niebieskich odbijało się w morzu, ciemnym i uroczystym, o wielkiej, nieskończonej ciszy.

Mijano lądy wysp, pobrzeżne skały, zatoki. Tu i owdzie błyszczała latarnia morska, ścieląc słup ognisty na wodzie, tu i owdzie dzwonił strażnik, czuwający na strażnicach morskich.

Polan patrzył w przyszłość.

A miał uczucie, że wielkie szafirowe oczy księżniczki spoglądały nań i spoglądają nań teraz...

Przez przestrzeń wodną i przez ciemność nocy...

Przy jego boku była szpada, przez pierś wstęga purpurowa.

Szabla, która niczego nie dokonała, purpura, w którą go oblókł Marko Slavicz, on, który go zrobił dyktatorem, dzięki swoim od siedmiu lat drukowanym artykułom dziennikarskim i od siedmiu lat wypowiedzanym mowom do analfabetów...

Bez Marka Slavicza, bez jego popularności u robotników portowych i węglarzy, czemże by on był? Zważył monarchię przez Marka Slavicza, stał się panem wielkiego kraju przez Marka Slavicza...

Ha! Do pioruna!

Gdyby dodać skrzydeł tym statkom, gdyby leciały, jak błyskawice!

* *

— Można zaczynać — zwrócił się młody porucznik admirałskiego statku „Albatros”, odejmując lornetę od oczu, do kapitana Petrovicza!

Na niebie świeciło. Dzień wstawał jasny i promienny.

Kapitan Petrovicz spojrzał na stojącego obok Polana, zaczerwienił się i rzekł: — Dyktatorze, w tym straszliwym pośpiechu, do jakiego nas popchnąłeś, zapomnieliśmy o jednym: wojna nie jest wypowiedziana.

— Czy nie czytałeś pan włoskich gazet? Czy Włosi chcieli nam ją oficjalnie wypowiedzieć? odparł Polan.

— Tak, ale —

— A więc uspokój się pan! zaraz wypowiemy wojnę. Baczność! — krzyknął z pomostu na stojących obok dział artylerzystów.

— Napadamy bądź co bądź, jak korsarze — cały świat oburzy się na nas — mówił Petrowicz.

— A więc będziemy walczyli z całym światem! — krzyknął Polan, wyrzucając szpadę z pochwy, aż zgrzytnęło żelazo. — Ognia z „Nocy”!

Olbrzymie działo, zwane „Noc”, umieszczone we wieży skombinowanej systemu Barbette i Obrotnej, wyrzuciło ze siebie z przerażającym hukiem pocisk w stronę widniejących wśród porannej mgły włoskich statków w porcie Ankony.

A dzień wstawał jasny i promienny. Ciepłe czerwone światła snuły się po wodzie i modrozłote barwy poczęły na niej lśnić, zda się, w głąb wnikające, jakby blask tonął w morzu. Mgły wędrownie, srebrnoniebieskiej fioletowo-złociste unosiły się na widnokręgu, w przestrzeni, pełnej radosnego obudzenia.

Świeża i młodzieńcza poranna wilgoć napełniała świat cały, czyniąc atmosferę wonną i czarującą. Śliczne, czyste błękitne niebo przezieśniało gdzieś z mgieł coraz lotniejszych i topniejących nad głowami żeglarzy.

Wyszał „Nocy“ wywołał jakby zdumienie we wszechświecie. Ogromne, uroczyste, nieprzebrane milczenie opłynęło go i rozdarło zamknęło się nad nim napowrót.

Rzekłbyś, że jakaś cudowna bogini grecka, uderzona zachwałym młotem barbarzyńcy, nie wierzyła jeszcze, że ją uderzono...

Po pierwszym strzale nastąpił drugi i trzeci. Wkrótce zagrzmiały i inne działa „Albatrosa“, i inne zagrzmiały za nim statki pancerne: „Zemsta“ i „Pogrom“, oraz krążowce „Światowid“, „Czar“, „Wojewoda“ i dalsze.

Z piorunującą detonacją poczęły lecieć pociski; kilka minut upłynęło, zanim przerażeni i zdumieni Włosi odpowiedzieli beładnie i bez planu, nie mogąc się zorientować, zkąd, jaki, w jakiej liczbie i w jakim szyku bojowym nieprzyjacieli nadciąga?

A flota Polana zbliżała się coraz bardziej, nieuszkodzona dotąd ani jednym strzałem od wybrzeży włoskich. Zataczano półkrąg, aby statki włoskie nie mogły próbować uciec. Pierścień ognia zamykał port w Ankonie.

Mimo pomocy, z jaką obłożonej flocie pospieszyła artyleria lądowa, wskutek niesłyszanie niespodzianego napadu, zniszczono ją i uczyniono niezdolną do walki, tracąc przytem tylko krążowiec „Wojewodę“ i ponosząc zresztą stosunkowo nie ciężkie szkody.

A gdy działa „Zemsty“, „Wroga“ i „Pogromu“ bombardowały miasto, Polan, rozkazawszy Petroviczowi przesiąść się na „Pogrom“ i powiadomiwszy o tem sygnałami flotę, ale nie pozwalając wywieść na nim flagi, aby nie zwrócić uwagi Włochów, sam, zabrawszy flotylę torpedowców i trzy łodzie podwodne na pokład, skierował „Albatrosa“ na wschód i płynął w tym kierunku tak długo, aż znalazł się po za obrębem widnokręgu lunet ankońskich. Wówczas pancernik zmienił kurs i począł płynąć ku północnemu zachodowi.

Uczył albowiem Polana przykład Napoleona, że szybkość, niespodziewanosc ruchów, gwałtownosc ataków i atakowanie, wprowadzone niemal we fure, przstrasza, miesza, a co najwazniejsze, imponuje przeciwnikowi.

Postanowil tez w najkrótszym możliwie czasie napaść dwa pancerniki włoskie, stojące pod Wenecją, o których pobycie tam wiadano dokładnie, choćby z gazet.

Na wieść o klęsce pod Ankoną i obłożeniu jej od morza, pancernikom tym kazano depeszami z Rzymu zrobić, co tylko można, aby być gotowym do boju, ale stać na kotwicy z poleceniem czekania na dalsze rozkazy. O tem, ażeby wyprawiano je na odsiecz Ankonie przeciw zwycięzkiej, o tyle silniejszej flocie słowiańskiej, mowy być nie mogło. Ruszyć ich też nie było którdy.

Na to też liczył Polan.

Opuściwszy wody walki koło siódmej zrana, „Albatros“ płynął tak, aby pod Wenecją znaleźć się w nocy. Mimo jednak depesz, donoszących nietylko o bitwie pod Ankoną, ale i o pojawieniu się części floty południowo-słowiańskiej pod Peskarą, pancerniki, stosownie do rozporządzeń w czasie wojennym, rzuciły ze swych reflektorów dalekie zorze w ciemność, pomnażając strach, jaki ogarnął Wenecję, wiedzącą już o wojnie. Noc była chmurna, a powietrze parne, zanosilo się na burzę.

Strzał alarmowy zdruzgotał ci szę nocną.

— Spostrzegli nas! — rzekł kapitan Starcewicz, dowodzący „Albatrosem“.

— Szybciej! Szybciej! — naglił Polan. — W każdym razie nie wiemy jeszcze, czy nie jesteśmy jakimś oddziałem ich floty z pod Ankon, który zdołał się przedrzeć i ucieka. Szybciej!

Pancernik i torpedowce sunęły, jak cienie.

— Poznali! — ozwał się kapitan Starcewicz, albowiem następny strzał czystym i niebywałym wypadkiem trafił i pogrążył w morzu torpedowiec drugiej dywizji Y. 7.

— Dyabli! — zaklął Polan i dał rozkaz. Atakować torpedowcami wobec czujności Włochów było niepodobna, jak to pierwotnie miał w zamiarze, — trzeba było rozpocząć bój otwarty.

Dwa olbrzymie światła reflektorów „Albatrosa“ runęły na zatokę pod Lido, rozbiegły się na chwilę na lewo i prawo, a potem ogarnęły jaskrawo „Nautilusa“ i „Amfitrytę“. I nastąpiło nieporównane starcie światła pancerników włoskich i pancernika Polana. Niebo

zapłonęło dziwnym, zimnym, prze-rażającym ogniem. Z fortów Lido poczęto bić z dział alarmowych, we wszystkich kościołach Wenecji uderzono we dzwony na trwogę.

I daleki grom zahurkotał w powietrzu, albowiem od strony Alp zbliżała się burza.

— Straszliwa orkiestra — szepnął do siebie Zbigniew Polan.

Poczem wydał komendę.

„Noc“ obwieściła swoje przybycie, głuszac wszystko na chwilę.

I zaczęła się okropna wymiana strzałów. Ciężka artyleria „Nautilusa“ i „Amfitryty“ godziła w „Albatrosa“, podczas gdy szybkostrzelne i maszynowe działa zasypywały po prostu gradem pocisków zmniejszoną już o jeden flotylę torpedowców. Z pierwszej jej dywizji, pchniętej naprzód, dwa torpedowce uczynili Włosi niezdadnymi do walki, trzy inne cofnęły się, nie dokonawszy niczego; „Nautilus“ ocalał. Nie powiódł się również atak na „Amfitrytę“ dywizji drugiej, gdzie udało się Włochom zatopić armatami drugiej torpedowiec, tak, że dywizja ta zmalała do trzech numerów.

Niespokojnemi, pytającami oczyma popatrzał na Polana kapitan Starcewicz.

— Łódź podwodna, „Delfin!“ — zakomenderował Polan. — Przeciw „Nautilusowi“!

Łódź puściła się naprzód i za chwilę zanurzyła w morzu.

Czekano wśród nieustannego grzmotu dział, ale napróżno.

— Musieli zatonać — rzekł Starcewicz — za długo trwa —

— „Mors!“ — rozkazał Polan.

I znów czekano na torpedę wśród huku i granatów, które zdruzgotały tylny maszt wieżowy na „Albatrosie“, rozbiły na nim dwie armaty, zabiły mnóstwo ludzi i wyrwały otwór w lewym boku, na szczęście, nad linią wodną.

— I ci musieli zatonać — rzekł Starcewicz — Załoga nie umie widocznie manewrować, albo maszyny nie funkcjonują prawidłowo.

— „Narwal!“ — zawołał Polan przez tubę.

Ale mimo sygnałów łódź, spuszczone na wodę, nie posunęła się naprzód.

— Co to jest?! — krzyknął Polan zdumiony.

Powtórzone sygnał, lecz „Narwal“ nie posunął się mimo tego.

Wówczas Polan domyślił się przyczyny.

— Szalupa! — krzyknął.

Mimo powstającego już wichru i poczynających się burzyć fal, spuszczone szalupę, a Polan, zsunaw-

Sukces artysty polskiego w Wiedniu.

Na wystawie „pięciu” młodych artystów polskich w Wiedniu — szeregowa uwaga krytyki zwróciła się na obrazy Jakimowicza. Nawet nieprzychylnie usposobiona do wszystkiego, co polskie, *Neue Fr. Presse*, między innymi, pisze: „sa to mistrzowskie rysunki, w których autor równie dobrze odczuwa kształty głowy, ręki etc., jak umie skutecznie operować światłem i cieniem”. Jakimowicz jest siostrzeńcem znanego powieściopisarza, Wł. St. Reymonta.



Jakimowicz. Autoportret.



Jakimowicz. Ada.

szy się po linie — bez szabli, aby mu nie zawadzała, a tylko z brownin-
giem w kieszeni, wbiegł w nią.

Szalupa, pchnięta wiosłami, pod-
płynęła podług rozkazu ku łodzi
podwodnej.

Polan uchwycił się rzuconej
z tamtąd liny i, wyskoczywszy w mo-
rze z szalupy, z której przy faluja-
cej wodzie inaczej szybko na łódź
dostać się nie mógł, stanął na jej
wązkim dachu.

— Naprzód! — zakomendero-
wał. Pod „Nautilusa”!

— Na dno?! Jak tamci?! —
wrzasnął dowodzący porucznik.

— Jak tamci! — odskrzyknął
z furją Polan i, nim porucznik zdo-
łał się opatrzyć, porwany przez Po-
lana wpół, podniesiony w powietrze
i ciśnięty z atletycznym zamachem,
runął w odmęt morza.

— Marsz! — krzyknął Polan ku
dwunastu żołnierzom, stanowiącym
załogę i obsługę łodzi.

Polan stał przed nimi z brownin-
giem w rękę; żołnierze wahali się.

— Tysiąc talarów na głowę! Za
mną! — zawołał i skoczył ku maszy-
nie.

I żołnierze postąpili za nim.

Polan splunął z pogardą.

— Naprzód, poruczniku! — dał
rozkaz sierżantowi, wskazując ręką
ciskającą olśniewające światło „Nau-
tilusa”. — Śmiało, sierżanci! — zawołał
do żołnierzy.

Jako oficer inżynierii, wzorując
się na szkołach amerykańskich i an-

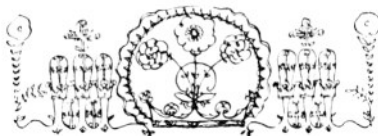
gielskich, Polan obeznany był z wo-
jenną sztuką morską i wiadomości
swoje co do zasady ataku łodzi
podwodnych umiał w czyn wpro-
wadzić. Po pierwszych zleceniach
żołnierze nabrali doń zaufania.

— W dół! — zakomenderował,
gdy chwila nadeszła.

I łódź pogrążyła się pod
falą.

Był to stary typ łodzi, mogącej
aż do trzydziestu metrów zapaść
pod powierzchnię.

DCN.



Imperyalizm.

2 Niemniej przerażające fakty
z praktyk kolonizacyjnych w belgij-
skim Kongo ogłosił sekretarz To-
warzystwa dobroczynnego „Congo
Reform Associat on” M. E. Morel
w wydanej przed rokiem w Londy-
nie głośnej książce: „Czerwony ka-
uczuk”.

Publikacja ta jest okropnym
aktem oskarżenia przeciw rządowi
rasy białej w olbrzymim państwie
murzyńskim. Obowiązkiem kra-
jowców jest, obok dostarczania ży-
wności dla stacyj wojskowych i dla
urzędników przedsiębiorstw eksplo-

atacyjnych, zbieranie po lasach ka-
uczuku w jaknajlepszym gatunku.
Skoro kauczuk nie został zebrany
w odpowiedniej ilości i jakości, pod-
legają murzyni najbardziej barba-
rzyńskim karom. Do lżejszych za-
licza się zabranie wszystkich kobiet
z osady i uwięzienie na kilka ty-
godni. Ostrzejszy rodzaj kary sta-
nowi ucinanie ręki dzieciom murzy-
na, którego dostawę uznano za
zbyt skąpą. Gdy wreszcie dostawa
z pewnej okolicy jest zupełnie
niewystarczającą, organizuje się „wy-
prawy karne”. Żołnierze króla Le-
opolda spadają na wieś i pustoszą
ją ogniem i mieczem, celem dania
przykładu innym. Po wyprawie
takiej oddział obowiązuje jest przy-
nieść władzy okręgu pocinane ręce
murzyńskie na dowód, że „dobrze
pracował”. Także przybijanie do
krzyża jest praktykowane.

Sądy pozostają od spraw tych
zupełnie na uboczu.

Najbardziej cywilizowana rasa
anglo-saska nie plami się czynami
tak ohydными, jak Niemcy i francu-
zi. Jednakże i ona stosuje na ko-
loniach odrębne zasady etyczne.
Nawet tak zasłużony badacz, jak
Stanley, zdobył sobie wśród kra-
jowców afrykańskich miano „krwa-
wej małpy”, a wspomnienie jego
okrucieństw żyło długie lata. Znę-
canie się bezkarne nad tubylcami
jest tu na porządku dziennym i tak
samo, jak w koloniach francuskich
i niemieckich, „czarny” uważany
jest za istotę, której życie ceni się

mniej, niż życie domowego zwierzęcia.

To mówi kronika ostatnich lat. Jakieżże krwawej ironii nabierają rzucone na to tłó dumne wyrazy amerykańskiego wielbiciela imperyalizmu:

„Każda ekspansja wielkiego mocarstwa cywilizowanego oznacza zwycięstwo prawa, porządku i sprawiedliwości. Okazało się to prawdą we wszystkich wypadkach ekspansji w ubiegłym stuleciu. We wszystkich tych wypadkach ekspansja była korzyścią nie tylko dla mocarstwa, któremu przypadała, ale i dla całego świata.

* *

Prokonsulowie, rządzący w podbitych prowincjach Europy, nie mogą we krwi pławić się i zaspakajać zwyrodniałych instynktów. Lecz tu forma tylko zmienia się, nie treść. Środki działania przystosowują się do warunków miejscowych, nabierają cech mniej rażących, *zasada zostaje ta sama*: głosi ona moralność podwójną, jedną na użytek własny, drugą w stosunku do „obcych“.

Hakatysta Bertold Otto w książeczce *dla dzieci*, wydanej w Lipsku r. 1902, powiada: „Pewien anglik dopuścił się bezprawia wobec obcego; pokrzywdzony broni się i sytuacja jest taka, że anglikowi może dostać się należyta zapłata. Co czynią patrzący na to anglicy? Otóż nie pozwolą, aby obcy zmógł anglika, bo trzymają się zasady: *wszystko jedno, czy prawo, czy bezprawie*, zawsze stajemy w obronie ziomka. Tej zasady powinna się trzymać także młodzież niemiecka w walce przeciw polskości“. „Podczas walki dwóch narodów—tłumaczy dalej Otto—nie uznaje się wcale tych zasad o prawie i bezprawiu, które istnieją w życiu codziennem; kto nie solidaryzuje się ze swymi ziomkami w walce przeciwko obcemu żywiołowi, ten jest zdrajcą“.

„Innoplemieniec“ może być krzywdzony zupełnie bezkarnie. Gwałt popełniony na nim jest cnotą. W imię czego?

„Polacy—mówi jeszcze pedagog hakatystyczny—są niewątpliwie dobrymi ludźmi. Nie są oni także naszymi nieprzyjaciółmi wojennymi. Ale są naszymi językowymi wrogami i wobec tego mamy nie tylko prawo, ale nawet powinność i obowiązek zdobywać jak najwięcej obszaru tego naszego wroga językowego“.

Życie naszego narodu od rozbiorów, a zwłaszcza w chwili obecnej, zna dobrze konsekwencje stosowania tych zasad.

Imperyalizm, głoszący, jako cel życia narodowego, panowanie nad innymi ludami, imperyalizm ze swemi trzema ponuremi znamionami: nacjonalizmem, który pragnie jaknajgłębszą przepaścią oddzielić od siebie sąsiadujące plemiona, szowinizmem, który regulowanie stosunków między nimi nie ni powierza ślepej nienawiści, „egoizmem narodowym“, który stwarza etykę podwójną, rzucając posiew pod nowe zbarbaryzowanie ludzkości,—imperyalizm zaczyna bezpośrednio o najżywotniejsze interesy nasze i jest główną zaporą przeciw rozwiązaniu kwestyi polskiej w duchu prawdziwej kultury.

Dla narodu, wytrzymującego napór tego huraganu, który łamie wszystko, co nie jest w stanie wy prowadzić w pole zbrojnych pułków, dla narodu prześladowanego nie może być dwóch dróg w określeniu stanowiska wobec doktryny, która choćby w najgórniejszy uderzyła ton teorytyczny, w praktyce zamienia świat w menażeryę, a przyszłość wyznacza posiadaczom najtęższych kłów. Jeżeli także u nas, jakby na ironię, zaznaczył się papierowy kierunek, który na modłę pruską głosił, iż w stosunkach między narodami istnieje rozległa sfera, gdzie „nie ma słuszności, ani krzywdy“, jeżeli drwiono ze „związłej fantazyi“ patryotycznej, która wyobrażała sobie Polskę „dobrą, pocziwą, humanitarną“, która „nie obcego nie będzie chciała zagarniać“, jeżeli starano się w społeczeństwie nasze wszczepić przekonanie, że sprawa narodowa może wymagać nie tylko walki z krzywdą własną, ale także „użycia siły względem innych“, „oparcia się na bagnietach i panowania nad kimś“, to objaw ten, po za upokarzającym piętnem tragikizmu, jakie wypala na nim moment obecny i po za odrazą etyczną, musi być uznany, jako zboczenie od zdrowego narodowego instynktu. Gdyż szczytem niedorzeczności i jest przecież, gdy naród uciśniony sankcyonuje sam zasady, będące apologią ucisku i bezprawia.

Imperyalizm tryumfuje na całej linii.

Lecz idee, władające umysłami ludzkiemi, zmieniają się. Także idea naszego czasu, która krwawe ręce rozpostarła nad wszystkimi częściami świata, nie może być wieczną. Jej zmiana może wyłamać drzwi naszego więzienia. Inny nastrój umysłów podyktuje inne sposoby rozwiązania sporów i zawiści plemiennych, nowy ideał skierować może wzrok ludów ku wyższemu celom, niż podbój i panowanie nad innymi.

W interesie naszym leży przyspieszyć przesilenie się obecnych ideałów ludzkości. Czy to leży w naszej mocy?

Wątpić o tem—znaczyłoby nie oryentować się wśród zjawisk, z których składa się życie ogólne. Nie istniejemy po za obrębem praw, rządzących światem. Ogołoceni z władzy, stanowimy przecież, jak inni, żywy ustrój, który ulega wpływom, ale i sam wpływ wywiera. Jesteśmy czynną siłą, której działanie zatacza kręgi, często szersze, niż te, co dostrzegalne są dla oka, jesteśmy wreszcie jednym z liczniejszych narodów Europy i nastrój tego narodu musi zaważyć na tej ogromnej szali, na której w ustawicznych odchyleniach waży się dylemat: kultura pięści, czy ducha.

Ant. Choleńiewski.



Hejnał krakowski.

Na bój,
Z Maryackiej wieży
Uśpionych budzę rycerzy,
Aż Mojżeszowy tryśnie mocy zdroj:
Za Sen, co w serc głębi drzemie,
Za Pieśń, za Ziemię,
Na bój!...

M. M. Poznański.



Pobudka, trąbiona co godzinę na 4 strony świata z wieży Maryackiej w Krakowie.



Winieta na okładce ostatniego zeszytu „Chimery”, rysowana przez Józefa Mehoffera.

Skon „Chimery”.

Piękna Chimera zmarła. Zeszła do Erebu pamięci wiecznej w pełnej krasie, z wieńcem róż i nieśmiertelników na skroni. Zmarła z dumnym uśmiechem niepokalanki, z bezwstydem dziewicy, która, pyszna z wdzięków swoich, nie wstydy się nagości—i pragnie, aby wszystkie słońca dusz ludzkich padły na nią gorącym promieniem. Zmarła w trzydziestym zeszycie, w trzydziestym dniu swego królewskiego żywota, w tomie roku dziesiątym. Umarła młodo, jak umierają istoty, od bogów ubłogosławione.

Złożyć nam trzeba jej wieniec z karmazynowych liści, a zwłoki okadzić myrrą i balsamem.

Kochanek jej i redaktor, Miriam (w języku ludzi noszący miano Zenona Przesmyckiego), w ostatnim dniu jej trwania, upieścił się z nią nadzwyczajnie. Skutkiem tej pieszczoty jest zgrubienie, obszerność tomu, w jakiej pokazała się światu. I jeszcze innym, również poważnym skutkiem, jest nadzwyczajny dobór treści. Chimera, rozpościerając skrzydła i wzięwszy chyży lot, sprosiła w goście Szekspira, Leonarda da Vinci, Giosue Carducciego, Jarosława Vrchlickiego, Gabriela d'Annunzia, Maurycego Maeterlincka, Stefana Mallarmé'go, Pawła Verlaine'a, Alfreda de Vigny, Leconte de Lisle'a, Karola von Lerberghe, Iwana Gilkin, Jana Pascoli, Wiktoryę Aganoor, Sörena Kierkegaard, Alfreda Mombert, Otokara Brzezina, Machera, Maksa Wallera, Maksymiliana Dauthendey, Alberta Giraud, Jana Nerudę. Tych to cudzoziemców przyjmują w Warszawie—Polacy: Norwid, Przesmycki, Kasprowicz, Wyrzykowski, Lemański, Wroczyński, Szczepny, Zawistowska, Zyg. Zaleski, Barącz, Bielecki, Kazimierz Bleszyński, Bronisławska, Bukowski, Eminowicz, Galiniski, El-ka, Komornicka, Krzykowski, Leśmian, Lubecki, Makuszyński, Mar, Mzura, Zofia Nalkowska, Robakowski, Savitri, Staff, Stefan Stasiak, Świątek, Wiediger, Wikszemski, Wilkowicz, Bruno Winawer, Witoszyński, Wize, Maryla Wolska, Wacław Wolski, Władysław Zaleski, Barbara Zan, Zbierzchowski. A w rysunkach, frontispisach, planszach—Mehoffer, Okuń, Pieńkowski, Dante, Rossetti.

Uczta niepospolita. Tom wspinał się. Wykwint zupełny. Chimera

unoszą się, lata w chmurach, po za chmurami, het—w przestrzeni, gdzie już wszechświatowy eter od zimna zastęga w granit. Dwie postaci tak sobie różne. U góry ona—Chimera, marzenie bezkresne, wolniejsze od ptaków orłowych, u dołu—Syrena, cudne, rozkoszne, gorące ciało, umazane w błocie. W mazi glinnej, z której rodzi się człowiek. Nienawidzą się wzajem te dwie postaci. Obiedwie śpiewają pieśni, wabiąc ludzi. Syrena ma słuchaczy miliony, Chimera—nielicznych, jak latanie morskie, przyglądające się wschodzącym słońcom.

A jednak Warszawa, miasto Syrenie, musiało być dać przytułek Chimrze, pozwolić jej na śpiew wiekistych hymnów. Jak piękna kobieta, na bal się przystrojając, kładzie na swoje piersi—żądze pereł sznur, blask kryształicznych kamieni, stroi się w Chimrę, tak i zalotna natura Warszawy, lubiła kraść się zdołbom, wytwornym wydawnictwem, choć sama do jego życia mało przykładała ręki.

„Chimera”—to jeden człowiek—Miriam, zapatrzonej, zasluchanej w kryształ, dźwięki i barwy. Absolut żywy, chodzący—w spodniach, dobrze skrojonym surducie i cylindrze, w wiecznym poszukiwaniu najtreściwszej kondensacji pojęć, prawyrazu, prądźwięku, pragnący. Wylawiać pereł po głębinach morskich całej Europy, nurek, który przez szklą swego skafandru przygląda się nowym nieznany kształtom, w encyklopediach sławy dziennej niezapisanym, świetny przekładca



Winieta z ostatniego zeszytu „Chimery”, rys. przez E. Okuń.

arcydzieł, w mowie niepolskiej pisanych.

Ot, na przykład, z Verlaine'a: „La bonne chanson”.

Biały sierp wązki
Wszedł nad bór;
Z każdej gałązki
Świegotów chór
Płynie gęstwiną...
O, ma dziewczyno!
Stawu tajemne
Lustro bez dna
Odbija ciemne
Wierzb sennych tła,
Gdzie wiatr wspomina...
Marzeń godzina.
Ogromna tklia
Cichość i mir
Z szafirów pływa,
Z gwiazdzistych lir
Słodko się chyli...
O, czar tej chwili!

Przekład jest Miriamą, prześlizgnij.

Pozatem—surowy korepetytor orłatek i gąsiacek młodej, najmłodszej i najnajmłodszej Polski, nieprzekupny burgrabia języka polskiego, artysta tak sumienny, że prawie nigdy nie wydał był zeszytu „Chimery” na termin. Czytelnicy sarkali często na różnocość wydawnictwa, nie rozumiejąc, że działo się było to jedynie ze względów uczciwości, — aby ich nie oszukiwać plewą a sieczką. Podobno *mundus vult decipi*,—Miriam tego nie uznaje. Niechaj mu to będzie grzechem śmiertelnym.

Miriam pierwszy u nas wprowadził do wydawnictwa zasadę wspólnej pracy artystycznej i wspólnego zainteresowania się całością. Wszędzie na zeszytach „Chimery”, na okładkach, wykończonych aż do pedantyzmu, można wyczytać nazwiska składaczy, łamaczów, odbijaczy na maszynie słowa drukowanego w „Chimrze”. Miriam zaprowadził ład, rzetelność, powagę i poszanowanie pracy. Jakież miłe jest to dopuszczenie do planu artystycznego pracujących w zaduchu gazu i farby, błędnych od złego powietrza towarzyszy sztuki drukarskiej. Na zeszytach ostatnim czytamy: „składał i łąkał Józef Perzak; odbijali na maszynie: Aleksander Tatarowski i Franciszek Gryczyński”.

Robotę z „Chimrą” miał Miriam nietawą. Przekładów z literatur obcych przeważnie dokonywał sam, a że wybór miał ogromny, więc chodziło tylko o pracę, której się oddawał z namietnością. Sam kilkakrotnie widziałem jego przekrwione od pracowania oczy. Większe troski miewał był od swoich; przynoszono mu pudy rękopisów, z których bardzo niewiele dawało się wziąć. A i to, co wziął, było częstokroć „w pomarańczowych skapanie woniach”, albo biło w *tam-tam* bezmysłu, albo niosło stłumione echa Maeterlincków, Verlaine'ów, Beaudelaire'ów w kultuńskiej transpozycji nadwiślańskiego wierszoróbstwa. Były wszakże i rzeczy całkiem piękne i oryginalne. A już wielką zasługą Miriamą dla literatury naszej jest odkopanie i pokazanie światu czwartego z naszych przyszych wielkich, Cypryana Norwida, przedstawiającego odrębną formację ducha.

W zamknięciu wydawnictwa, w słowie pożegnania i pamięci, Miriam odślania pragnienia swe i cele: „Chimera” spełniła, na razie, najważniejszą część swych zadań. *Wskazała nielicznemu gronu istotnie pragnących nowe miary i wartości, nowe horyzonty i poziomy*, rozbudziła w twórcach i czytelnikach głębsze pragnienia, wyrwała na duszach żywych ślad niezatarty.”

Chce więc, aby już odeszła w legendę, przestała być czasopismem, które się przerzuca z zeszytu na zeszyt, a stała się książką, czytana w ostatecznym skupieniu. Niechaj tedy wstąpi w znak „Norwidskiego Przemilczenia”. Straty nie będzie, bo, jako wartość trwała posiadająca, zawsze promieniować będzie. Przyjdzie czas, kiedy nowa garść ludzi, wiernych sług Graala, stworzą nowego Euforiona, syna Piękna i Zadumy, nowe Chimery wcielenie.

Miriam przemawia dumnie, ale ta duma — usprawiedliwiona. Zarzut, że „Chimera” dla ogółu czytelników była za niebosiężna, za niezrozumiała, może dotyczyć jedynie niedociągnięcia lub małej wartości utworów, jakie się tam mogłyby znaleźć. Nawet utylitarność, punkt widzenia sekciarsko-społeczny, musi się zgodzić na to, że wszystko istniejące, a tem bardziej literatura piękna, musi mieć stopnie, kondygnacje. Zasadę różniczkowania stosuje się do wszelkiego świata organicznego i nieorganicznego.

Cóżbyśmy rzekli, widząc wspaniałą katedrę bez wieży lub kopuły, słowem bez zakończenia? Wieże u kościołów są potrzebne i z pewnością pomagają głębokości modlitwy tych ludzi, którzy chcą się naprawdę modlić. „Chimera” była taką wieżą.

Inni ludzie powiedzieć mogą: szczyty wysokich drzew nie rodzą owoców; rodne są tylko środkowe, krzepkie gałęzie, jak u tych karłów gruszczyńskich: bab, panien, proboszczówek i t. d., tam niema szczytów. Ale przyroda już tak rozporządziła, że drzewa owocowe nie są materialem zdatnym do budowy świątyń. Wysmukłe drzewa borów mają piękne czuby, a gdy im ściąć wierzchołek, usychają.

Tak jak czuby świerków, jodeł i sosen pierwsze kołyszą się od pędzącej wichury, również i siadająca na nich Chimera pierwsza odczuwa zrywanie się wicherów kosmicznych, słyszy huk zbliżających się fal zalewnych, widzi lunę wulkanicznych ogniów. I bywa mniej ślepa i mniej głucha od tablic graficznych, kreślonych przez mędrców, liczących krocie kroci nieprzeliczonych kamieni.

Czasem Chimera siada na wielkich dzwonicach i dzwoni.

Przeczytajcie w ostatnim jej zeszycie piękne opowiadanie Władysława Reymonta p. t. „Ostatni”.

Rzecz dzieje się w Bretanii, na pobrzeżu morskim. Matka — rybaczka napróżno oczekuje powrotu syna, który wyjechał był na połów. Syn to już jej ostatni, innych przytuliło dno morskie. I wiesz się u sznura dzwonu przez noc całą, błaga żałośnie:

Ave, ave, ave, Maria!
Soyez le refuge
Des pauvres pecheurs,
O mere du juge,
Qui sonde les coeurs.

Dzwon dzwoni, morze huczy, syn nie powróci.

Chimera dzwoni także, jak owa sędziwa rybaczka, ale gdy wrzaski ludzkich zbiegów siłą się zatopić głos jej ukochanego dzwonu, głuchnie na dochodzące ją zzewnątrz ryki i obłąkana wsłuchuje się w jęk spżu.

Życie... chimera... Cóż istnieje po za tem?

Ignacy Grabowski.



Winieta z ostatniego zeszytu „Chimery”, rys. przez Korina.

„Podobny lotnemu piaskowi...”

Holger Drachmann.

W południowej Zelandyi, w Hornbuek, zakończył życie w d. 14 stycznia r. b. Holger Drachmann, bawiący tam od pewnego czasu na kuracyi.

W Danii nazywano Drachmanna „podobnym lotnemu piaskowi”. I w istocie, zarówno w pieśni jak i w życiu, byłon wikingiem, poszukującym bez wytchnienia coraz to nowego kształtu, duńczykiem, zgoła odmiennym od Jensa Piota Jacobsena, marzycielskiego Jutlandczyka, podczas gdy Drachmann był synem wesołej lekko-myślniej Kopenhagi, urodzonym w tem mieście w 1846 roku, duńczykiem nie zupełnie czystej krwi, jak samo brzmienie nazwiska wskazuje, — niemieckiego pochodzenia.

Że stał się poetą, jest to tylko dziełem przypadku.

Jako syn lekarza marynarki, urodzony z matki polki, miał zostać naprzód marynarzem, a potem doktorem. W szkołach kolegował z obecnym królem Grecyi, potem przekształcił się w republikańską o zgoła niebezpiecznym zabar-

wieniu, co mu bynajmniej nie przeszkodziło zostać w późniejszym wieku znów bliskim przyjacielem duńskiego księcia.

Pierwiastkowo poświęcił się malarstwu, ale kiedy, po swojej pierwszej wikingowej aż na Sycylię wyprawie, wyładawwszy w Londynie, usiłował, mając głowę nabitą rewolucyjnymi ideami i wciągnięty w koło emigrantów-komunardów, żywić ze sztuki, zmuszony był zarabiać w ów czas, jako korespondent dziennikarski, a nawet nieraz przygrywać do tańca w miejscach publicznych, ponieważ i to potrafił.

A kiedy w pamiętnym dla piśmiennictwa duńskiego 1872 roku, Jens Piotr Jacobsen, utworzył w Danii nowy styl wydaniem jedynej noweli „Mogens”, rozpoczynającej się pamiętnymi słowami: „Było to latem, w południe, na rogu płotu”, wówczas i Drachmann rozrucił swoje pierwsze *Digte* — i dopiero teraz miał się upoić pienistym winem młodości serca, ducha i ciała.

Jeszcze pewien czas wahania — i Drachmann przerzuca się na poetycką niwę.

Wiersze płynęły mu swobodnie — może nawet zbyt swobodnie — z ust (i to w dosłownym tego wyrazu znaczeniu, ponieważ genialnie improwizował przy dźwiękach mandoliny — i te jego popisy bywały przez przyjaciół najgoręcej podziwiane); tworzył wszystko, zarówno złe, jak i dobre rzeczy.

Ale zawsze po wydaniu paru książek słabych poezyi, pojawiał się znakomite dzieło.

Szermierz praw młodości i wielkich ogólnie ludzkich ideałów, został, jako taki, pierwiastkowo wciągnięty do piśmienniczego katalogu; należał do kosmopolitycznej francuskiej szkoły i poczytywany był przez nią samą za poetyckiego jej hetmana. A tymczasem wprost przeciwnie: był duńczykiem i żarliwym patriotą, napisał książkę, poświęconą wojnie 1864 roku, p. t. „Z po za granicy”, w której mówi o Alsen i Düppel, i otrzymał za nią państwową nagrodę, ale co ważniejsze, zdobył serca rodaków.

Z biegiem czasu uprzykrzył sobie teorie, a wraz z niemi i teoretyzujących swych przyjaciół, i ukrył się w zapadłej wiosce nadmorskiej, gdzie przeszło rok obcował jeno z żeglarzami i marynarzami.

I oto napisał swe opowiadania z mroza i wybrzeża, które stały się nowem objawieniem.

I znowu można go było wciągnąć do piśmienniczego katalogu, jako *pur sang* naturalistę.

Nie, to był poeta baśni!

Pod wpływem Szekspira i Andersena stworzył czarowne dzieło — „*Pewnego razu*”, które wywołało, niestety, całą epidemię baśni i w niej samo zatęgło.

Ale przedtem zdobyło mu ono sławę w całej Europie i odtąd pisma jego poczęto tłómaczyć na obce języki.

Względem krytyków był obojętny; tworzył, a jak się oni wobec tego zachowywali, stanowiło to już ich własną sprawę. A był o tem przeświadczony, że dłużej od nich trwać będzie. „.



Holger Drachmann, znakomity poeta duński.



Władysław Bogusławski.

W 70-tą rocznicę urodzin.

Od lat z górą czterdziestu w pierwszych rzędach krzeseł teatrów warszawskich na wszystkich niemal premierach siaduje widz średniego wzrostu, o ściągłej, wyrazistej twarzy, o orlim nosie i czole wysokim, i z uwagą i powagą słucha sztuki, śledząc z upodobaniem najdrobniejsze szczegóły kunsztu aktorskiego. Od lat czterdziestu na łamach dzienników warszawskich ukazują się nazajutrz po każdej premierze wytworne recenzje, podpisane nazwiskiem znanego i cenionego krytyka, recenzje, tchnące szlachetnem umiłowaniem teatru polskiego.

Tym stałym od lat czterdziestu widzem w teatrach warszawskich i tym krytykiem, znanym i cenionym, jest Władysław Bogusławski, niegdyś recenzent *Kuryera Warszawskiego*, obecnie współredaktor *Biblioteki Warszawskiej*, pisarz niepospolity, świętujący w roku bieżącym półwiekowy niemal jubileusz pracy literackiej.

Nestor krytyków polskich, syn Stanisława, a wnuk Wojciecha, twórca teatru polskiego, urodził się Władysław Bogusławski w Warszawie 9 Lutego 1839 roku. Szkołę realną ukończył w mieście rodzinnem, poczem wobec braku wyższej uczelni w kraju, udał się do Petersburga, a stamtąd do Moskwy, gdzie na uniwersytetach miejscowych studiował prawo. Po kilkoletnim pobycie w obu stolicach Rosyi, wyjechał Bogusławski dla dalszych studiów za granicę, czas jakiś przebywał w Heidelbergu, rok jeden w Paryżu, gdzie poznał gruntownie piśmiennictwo i język francuski.

Jako dwudziestokilkuletni młodzieniec, w powstaniu styczniowym żywy brał udział, mianowany przez Rząd Narodowy sekretarzem wydziału prasy. Skazany na śmierć, następnie ułaskawiony na pięć lat ciężkich robót, odbywał karę w Uśolu pod Irkutskiem, skąd w roku 1869 przez Petersburg szczęś-

liwie do kraju powrócił. Jednodniowy swój pobyt nad Nową spożytkował Bogusławski w ten sposób, że pierwszego zaraz wieczoru, po kilkoletniem pobycie na wygnaniu, udał się do teatru francuskiego, gdzie spragniony wrażeń artystycznych podziwiał wytworną grę aktorów paryskich.

W kraju po upadku powstania styczniowego panował ucisk i przynębnienie. Mimo to dziennikarstwo, chociaż pod srogą zostające cenzura, rozwijało się dosyć pomyślnie. Bogusławski odrzucał wzięcie do pracy publicystycznej, zrazu w *Gazecie Polskiej*, potem w *Kuryerze Warszawskim*, gdzie stałe pomieszczał wyborne recenzje teatralne. Teatr bowiem stał się jego żywiołem do tego stopnia, że w roku 1874-ym został mianowany przez prezesa Muhanowa reżyserem Rozmaitości. Zaraz też rozwinął na nowem stanowisku gorączkową działalność, ożywił repertuar, podniósł grę aktorską, tłómaczył dla sceny polskiej nowości francuskie, nadał zabiegom reżyserkim pewien plan i kierunek. Niedługo jednak wytrzymał w podnieconej atmosferze intrygi i kinkietów, w nierównej walce z ambicją podwładnych sobie aktorów uległ—i debiut swój reżyserki, najlepszymi ożywiony chęciami, ciężką przeplacił chorobą.

Po powrocie do zdrowia Bogusławski objął ponownie stanowisko krytyka teatralnego, drukując wytwornem piórem kreślone recenzje w *Kuryerze Warszawskim*, *Codziennym* i w *Gazecie Polskiej*. W roku 1890, w uznaniu zasług i pierskiego talentu, powołany został Bogusławski na zaszczytne stanowisko współredaktora *Biblioteki Warszawskiej*, w której dotychczas co kwartał pomieszcza gruntowne przeglądy teatralne.

W ciągu długiej działalności piarskiej Bogusławski przetrwał trzy kierunki literackie ostatnich czasów, mianowicie pozytywizm, naturalizm i modernizm w sztuce. W dobie panowania na wszystkich scenach europejskich komedyi mieszczańskiej, przetłumaczył dla sceny warszawskiej „Półświadek” Dumasa syna, jako klasyczny okaz owocnej twórczości francuskiej. Talent sceniczny Wiktoryna Sardou, Augiera, Paillerona i Dumasa uznawał, podnosił ich nerw dramatyczny, technikę i poczucie efektów teatralnych, niejednokrotnie jednak zwracał uwagę na filisterstwo komedyi mieszczańskiej, na brak poezji i pogłębienia charakterów.

Był natomiast zdeklarowanym przeciwnikiem naturalizmu na scenie, chociaż talent Zoli, jako powieściopisarza, cenił wysoko. Dzieje naturalizmu francuskiego wkrótce wykazały, że naturalizm wskutek brutalności swojej nie zyskał praw obywatelstwa w teatrze, który żyje nie nagą prawdą, lecz jej artystycznym złudzeniem. Wszystkie sztuki naturalistyczne, pisane według recepty Zoli, padły na wolnych scenach paryskich, gdyż warunkom teatralnym nie czyniły zadość. W sprawie naturalizmu na scenie Bogusławski niejednokrotnie głos zabierał, wskazując słabe strony dramatów eksperymentalnych.

Natomiast modernizm, zwłaszcza

neo romantyzm polski zyskał w Bogusławskim krytyka, życzliwie dla nowych prądów usposobionego. Bogusławski był jednym z pierwszych, którzy wprawdzie bez entuzjazmu, ale z uznaniem ocenili talent Rydla, Przybyszewskiego, Kisielewskiego, oraz wielu innych przedstawicieli młodej Polski. Nie uznawał oczywiście dziwactw dekadencjki, zakwilianych symbolów i napuszonej przesady modernizmu, zwalczał jego fałszywy patos i manierę, dla każdego jednak objawu szczerzego talentu miał wyrazy poważnego uznania. Młodych pisarzy starał się zrozumieć, wyczuć ich ducha, pojąć aspiracje i ze spokojnym krytycyzmem zbadać charakter ich twórczości. Szedł za prądem czasu, nie lękał się żadnej inowacyi, uznawał każdy kierunek literacki, jeżeli tylko reprezentowały go talenty.

Jako wnuk nieodrodny Wojciecha, umiłował Władysław Bogusławski teatr polski, a zwłaszcza scenę warszawską niepodzielnie, gorąco, pragnął by ją widzieć na szczytach artyzmu, jako wspaniałą instytucję kulturalną, jako świątynię piękna i przybytek sztuki narodowej, chciał by ją mieć żywotną i dostojną—i dlatego tak boleje nad jej obecnym upadkiem.

Oprócz recenzji po dziennikach drukował Bogusławski znakomite studia, głównie w *Bibliotece Warszawskiej*, o dramatach Ibsena, o powieściach Sienkiewicza, o utworach Prusa, wydał nadto ciekawą książkę p. t. „Siły i środki naszej sceny”, pełną trafnych uwag i głębokich o teatrze warszawskim spostrzeżeń.

Bogusławski słynie, jako gruntowny znawca teatru i sztuki dramatycznej. Wytworny stylista, umysł wykształcony, obejmujący szerokie widnokręgi, prawy obywatel, pojmujący pracę artysty i literata, jako zaszczytną służbę publiczną, zasłużył sobie czcigodny jubilat na dowody szczerzego uznania, jakie go po czterdziestopięcioletniej działalności zewsząd spotykają.

Oby długo jeszcze w czerstwem zdrowiu służył krajowi i umiłowanej przez siebie sztuce dramatycznej.

S. Kost.



Kardynał Richard.



Kardynał Richard.

mianowany został arcybiskupem paryskim, a w trzy lata później kardynałem.



Pałac Marmurowy w Petersburgu, gdzie spędził ostatnie chwile swego żywota król Stanisław August.

Palmira Północy.

Petersburg à vol d'oiseau. Gmachy, sobory, Nawa. Styl i charakter. Brzydota Petersburga. Barbaryja powszechna i szczypty kultury. Biblioteka Publiczna. Życie uliczne. „Dacze”. Parki.

Petersburg, 22 stycznia.

Białe noce „Petersburga” zasłynęły na świat cały...

Petersburga? Z pewnością nie myślał o nich Piotr Wielki. Białe noce—to cecha wogóle, to okrasa wogóle północnych stref. Ci, którzy Petersburg stwarzali, z biegiem dziesiątków lat nie przyczynili się niczem do ozdobienia go słynnymi... białymi nocami.

Nie mówmy o nich; podobnie jak nie mówmy o wspaniałem nad-petersburskiem niebie. przypominając żywo przejrzystością powietrza i malowniczością kolorów niebo amsterdamskie, niebo holenderskie, które taki wpływ wywarło na całą wielką „szkołę” malarstwa.

Nawa!... Jakież miasto poszczycić się może taką, jak Petersburg, nad-rzeczną, ocembrowaną granitami promienadą? A nad rzeką ogromną stoją kamiennym szeregiem gmachy... gmachy... gmachy... Okazałość, bogactwo, potęga! A plac przed Senatem z pomnikiem Piotra w pośrodku, otwarty z jednej strony na Nową, z drugiej zawarty monumentalną cerkwią Izaaka!..

I—doręczmy jeszcze sobór Kazański. Następnie t. zw. Wyspy—i—bodaj, że wymieniliśmy wszystko, co „nadzwyczajnego”, a istotnie pięknego posiada Petersburg. W ostatnich czasach przybyła mu nielada osobliwość: cerkiew, wzniesiona kosztem milionów rubli na miejscu, gdzie padł rażony bombami cesarz Aleksander II.

Będą, i słusznie, zwiedzali ją turyści obowiązkowo. Tylko nie majolić jej wewnętrzne, pokrywające szczerelinę nawę i pilastry, są najgodniejsze uwagi; rzadkość nad rzadkościami stanowią rzeźby i rżnięcia w kamieniach rozmaitych. Dosłownie: bloki kamienne, urabiane, jak—masło; zda się ktoś wyciskał na ich powierzchni w *haut-relief* kwiaty, arabskie, co mu fantazja zdobnicza poddała... Lecz mauzoleum w całokształcie swym—za ją skrawe, za krzyżące, za... wesołe. Pomysłaby kto, że upamiętnia jakie zwycięstwo lub uroczystość; upamiętniać ma tymczasem jedną z najbardziej ponurych i złowrogich chwil w dziejach Rosyi...

Stolice i miasta zachodnie mają różny styl, lecz charakter miejski mniej więcej jednakowy.

Typowym jest pod tym względem Berlin. Lecz uprzytomnijmy sobie: Wrocław, Wiedeń, nawet pradawny Rzym, Marsylię, Bordeaux, Paryż, Hagę, Londyn, Sztokholm, Karlsruhe, Stuttgart etc., etc. Wszędzie miejskie porządki—jednakowe; jednakowe to, co miasto, jako miasto, dawać powinno—bez względu na to, czy przechodzień natyka się owdzie na szczątki pałaców cesarów, czy na norymberszczyznę, czy na anglo-saskie zabijki budownictwa.

Po Petersburgu przewija się, jak nie przewodnia, styl drugiej połowy XVIII wieku, a tu i owdzie styl odrodzenia klasycyzmu z pierwszych lat minionego stulecia. To są cechy stylu. Charakter zaś miasta daleko odbiega od charakteru miast zachodnich.

Miasta rosyjskie—nawet choćby tak kosmopolityczne, jak Petersburg—mają swój własny, odrębny a niemilosierpny charakter. Podkład tego charakteru stanowi: niekulturalność. Charakter ten ugruntowano, niestety, w miastach takich, jak Wilno, Mińsk, Kowno, Grodno, Żytomierz, Kijów, nawet Odesa. Nie zdołano tylko piętna tego specyficznego charakteru wycisnąć na Rydze...

Petersburg, wyjawsz parę placów i niedużą względnie przestrzeń nad samą Nową, ale nie wyłączając głównych arterii, jak Prospekt Newski i ul. Morska,—to, pod względem charakteru miasta, rozszerzone dziesięciokrotnie, a może i więcej: Wilno, Mińsk, Kijów, Smoleńsk, Kazań, etc., etc.

Petersburg jest brzydki. Wejdźmy w ulicę najdystrygowanszą, wyposażoną w mieszkania, za które się płaci po kilka i kilkanaście tysięcy rubli, w ul. Siergiejewską. Gdzie jaka estetyka w tych koszarowych kamienicach, zgola bez żadnego stylu?

A przyjrzyjmy się długim, jak nuda, ulicom—przeciętnym. Toć że to melancholia i czczość duchowa płodziły te iście więzienne kurytarze!

Zaczęto stawiać bajecznie kosztowne kamienice. Znaj pana po cholewach! I oto coś równie niezgrabnie ciężkiego, jak granitowy dom Fabergego na Morskiej lub też w pobliżu domu Owczynnikowa, przy którym bliźnie... tort najsutszy, chyba w świecie nie istnieje.

Niemilosierpa. jaskrawa pstrokaczna szyldów; ganki („podjazdy”) podobne do siebie, bez stylu, a raczej w stylu... parasoli; okna wystaw sklepowych stosunkowo nieduże, a wystawy sklepowe byle jak układane, co miesiąc, co kwartał zmieniane; ceglasy pałac Aniczkinowski, pałac Maryjski, jak sarkofag ponury, ratusz stołeczny,

jak buda cyrkowa; dalsze od środka ulice kamieniem polnem brukowane, z rynsztokiem, przez sam środek ulicy biegnącym; monotonne „linie” wyspy Wasiljewskiej, t. zw. „Wasilówki”, zabagniona Ochta,—czemże tu wzrok popaść, jakiż tu nastrój zrodzić się może? Chłód, trzeźwość utylitarnego materializmu, nuda, rozpraszana byle czem...

Kanały senne, cuchnące, zatrasowane barkami i tratwami, wyładowującymi drwa opałowe, węgiel, len... Gdzież zwierciadlane kanały miast holenderskich, o których się w Petersburgu tak lekkomyślnie wspomina? Lepiej nie wspominać o nich w Petersburgu.

A dopieroż po tych ulicach prze-walająca się „ludność” stołeczna! Radzę przejść się po Sadowej. Miłego użyje się spaceru. Poobija ci boki zadzięcioną, często pół na pół pijana „publiczność”, w czerwonych brudnych koszulach lub zatłuszczonych „tułubach”, jeżeli nie w „poddziwkach”, z którymi i na noc się nie rozstaje. Brud, ciemnota i grubiaństwo.

O, Palmiro północy! Ublizyłbym tobie, przykładając do ciebie skalę nie—stołeczna, lecz prowincjonalną. Prawda?

Gdzież więc jest w Petersburgu ta kultura wysoka, promieniująca po Paryżu, Londynie, Wiedniu—dla wszystkich? W Petersburgu jest ona, niezawodnie, ale—jak szczypta rodzenek w pirogu. Ten, ów *uprzywilejowany* trafi na nią... Albo—zafunduje ją sobie za drogie pieniądze.

Opera włoska—jest, a jakże! A dla wieluż ona dostępna? Ceny biletów—wysokie; przeszerzenie miasta ogromne. Z dalszych ulic trzeba tramwajem jechać godzinę, godzin dwie, a na dożkę nie stać każdego. Restauracje dobre—są, a jakże! Lecz np. u Cubata, Donona, „Miedwiedia” (*L'Ours*) kieliszek koniaku—rubla. W tej normie—reszta. Teatry—są, a jakże! Ale proszę—spróbować sięgnąć po byle wygodniejsze miejsce!

Tylko Publiczna Biblioteka Cesar-ska—znakomita i dostępna. Tam też i spotkać uprzejmość, niepraktykowaną w tak „wysoko postawionych” analogicznych instytucjach zagranicą.

Lat temu kilka stał na czele Biblioteki Publicznej wybitny historyk, gen. Szylder, autor monumentalnych dziejów panowania Aleksandra I-go, persona w równej mierze poważana u Dworu, jak w świecie naukowym.

Potrzebowałem „pożyczyć” jedno z cenniejszych dzieł, przechowywanych w Bibliotece, dla sfotografowania kart paru. Udałem się wprost do gen. Szyldera. Wbrew wszelkim formalnościom kazał mi wydać, jak się rzekło, dzieło nader cenne i rzadkie,—zapisując je... na własne imię.

A kiedyś we trzy dni potem oboście zwracał mi „depozyt” (całkiem honorowy) i dziękował mi gorąco za doznaną wielką uprzejmość, gen.

Szylder rzekł mi z subtelnym swoim uśmiechem:

— *C'est le moins, que l'on puisse faire pour vous, messieurs les polonais...* (To najmniej, co można z naszej strony uczynić dla was, panowie polacy).

Dzieło, o którym mowa, pochodziło z warszawskiego księgozbioru Żalskich, wcielonego do Biblioteki Publicznej petersburskiej...

Ale może są w Petersburgu bulwary, „ringi”, „corsa”? Może jest życie uliczne, tym razem przecie dostępne dla każdego?

Nie, niema bulwarów *à la* Paryż. Nie, niema życia ulicznego.

I skądże by miało być życie uliczne? Klimat nie po temu. Albo mróz siarczysty, albo mgła, albo plucha. Bywa, że w końcu maja śnieg sypnie i—leży przez dzień cały po dachach, albo i na bruku. Zaś gdy upały nastaną (od końca czerwca do początków sierpnia), miasto wyludnia się.

Przez trzy czwarte roku każdy pędzi piechotą lub pędzi dorożką z podniesionym kołnierzem, byle co rychlej—doskoczyć do celu i znaleźć się znów pod dachem.

Kawiarni w stylu zachodnim—niema. Próbowano je zaaklimatyzować. Nie miały powodzenia. A zaś gdy powodzenie dopisało jednemu takiemu przedsiębiorstwu (kawiarnia *de Paris*, na Newskim), taka zaczęła uczęszczać tam publiczność, że powynikały skandale, jedne gorsze od drugich...

Przechadzka petersburska? A no, to—przejażdżka w dorożce pierwszej klasy (świeży kłusak!) z szybkością automobilu—na Wyspy.

Znaczna część t. zw. *tout Petersburg* przeprowadza się na dwa krótkie miesiące letnie w podmiejskie okolice, za miasto, na willegiaturę. Zowie się to—„przejechać na daczę”. „Dacza”—to nie nazwa willi, szaletu, pałacyku, domku, to techniczna nazwa—willegiatury wogóle.

Pourządzano takie „daczę” na Wyspach. Piękne zadrzewienie, drogi, ścieżki, woda,—coś przypominające lasy Bułońskie. Ale same wille... pożałujcie Boże! Ani stylu, ani wygody, ani estetyki, ani najniezbędniejszego komfortu. I—drożyna niemiłosierna. Kto ciekawy, może oglądać tam wille, za których wynajęcie na lato (dwa miesiące, najwyżej trzy) płaci się 10 i 15,000 rb. I są, którzy je wynajmują! Bo spędzać lato „na daczę” na Wyspach uchodzi za kosztowną dystrykcję, na którą wielu się łakomi.

Dziesięć tysięcy! Któżby za tę pięniadze nie wynajął sobie pałacyku na Rivierze lub na normandzkim wybrzeżu! Łącznie z przejazdami całej rodziny nie wydalby owych dziesięciu tysięcy i miałby wygody—europejskie.

Ale Petersburg tylko na—mapie Europy *Halbasien*? Nie! w znacznym stopniu: *Ganzasien*.

„Daczę” w miejscowościach, wcale nawet malowniczych podmiejskich, jak: Carskoje Sioło, Siestoreck, Strielna,

Lesnoje, Ozierki i t. d. i t. d.—złe urządzone, bez najmniejszego pojęcia o estetyce i komforcie, a w dodatku mgłami chłodnymi owiewane już od zmierzchu sierpniowych dni.

Natomiast parki cesarskie w Carskim i w Pawłowsku, i w Oranienbaumie, i w Peterhofie—przepyszne. Równych pod względem ogromu niema w Europie. Park np. Carskiego Sioła łączy się z parkiem Pawłowską—i można wędrować wiorsty, mile. tak, mile, wspaniałymi alejami, wygrabionymi, wymiecionymi, niemal wyszczotkowanymi, natrafiając to na mauzoleum, to na pomnik, to na szalet, to na most ozdobny, to na pałacyk, to na ustrój przedziwnie malowniczy.

Mało kto z petersburszczanów zna dokładnie parki, odległe od stolicy na półgodziny jazdy koleją. Mało kto zna te parki wogóle a ściślej. Dość powiedzieć, że nagle zjawia się wiadomość w gazetach, iż uczyniono w takim to a takim parku—odkrycie! Odkryto—nieznany dotąd—np. monument, erygowany przez Katarzynę II lub Pawła na cześć któregoś z dworaków lub wodzów...

Można się w parku takim dziesięćkrotnie zabłąkać. Szczęściem, napotyka się po drodze całe partye robotników, przeważnie kobiet, zamiatających wytrwale a z oddaniem się wielkimi alejami i ścieżkami.

I można tak wędrować—wędrować—wędrować—bez celu i pamięci, nie zdybawszy dosłownie nikogo z „publiczności”, zwłaszcza w rewirach bardziej oddalonych.

Parki te—bez publiczności.

Publiczność petersburska nie uprawia sportu waleśniania się po parkach. Może to i dobrze, gdyż w parku przepelnionym „szeroką publicznością” petersburską pobyt byłby niemożliwy. Publiczności wersalskiej tu nie szukać. Nawet publiczności Thiergartenu berlińskiego...

Parki, o których mowa, należą do dóbr koronnych lub stanowią prywatną



Vlastimil Hofman. Podarty kierpiec.

własność Panującego Domu. Utrzymanie ich—wzorowe—kosztuje krocie.

I kwitną te wspaniałe parki, jak róża poety: *l'espace d'un matin...* dwa miesiące, dwa i pół miesiąca do roku.

Wartoż parki mieć—pod Petersburgiem? Warto—ż na błotach nadnewskich mieć stolicę?

Kier-Dej.

Odznaczenie uczonego.

W tych dniach nadeszła z Krakowa wiadomość, donosząca, że Akademia Krakowska mianowała prof. ks.



Michała Godlewskiego członkiem komisji historycznej. Wysokie to odznaczenie ze wszech miar należało się młodemu uczonemu, który od lat pięciu chlubnie i pożytecznie zajmuje katedrę profesorską w Akademii duchownej w Petersburgu.

Urodzony w Warszawie w r. 1872 z matki

ś. p. Anieli z Le Brunów i ojca ś. p. Antoniego Godlewskiego, wyniósł z domu rodzicielskiego młody uczony zamiłowanie nauki i prawdy. Dom rodziców jego stał na czele inteligencji szerokiej okolicy w Siedleckim; ogniskowały się tam wszystkie najlepsze w okolicy myśli i poczynania. To też obywatelstwo siedleckie przez długie lata obdarzało ś. p. Antoniego Godlewskiego zaszczytnym mandatem prezesa dyrekcji szczegółowej Siedleckiej T. K. Z. W tej atmosferze poczucia obowiązku publicznego wychowany, ukończywszy studia wyższe w akademii duchownej w Petersburgu, zdał chlubnie ks. prof. Michał Godlewski egzamin magisterski, a następnie udał się na wędrowkę na Zachód po dalszą wiedzę. Dwa lata przebył we Fryburgu, gdzie pracował pod kierunkiem takich mistrzów, jak prof. Reinhardt, Mandonet i Kirsch.

Powróciwszy z tej naukowej wędrowki, objął ks. Godlewski w r. 1903 katedrę homiletyki w Akademii duchownej w Petersburgu, zaś od roku 1904 wykładał tamże historię kościoła i patrologię. Pomne są prace, ogłoszone drukiem ks. prof. Michała Godlewskiego. W liczbie tych prac wymienić należy: *Monumenta Poloniae XVI w.* (wyd. w r. 1900), dwa tomy wydawnictwa *Monumenta Ecclesiastica Petropolitana*, dalej kilka licznych prac, pisane po polsku, jako to: „Prymasostwo Wileńskie”, „Ostatnia wola Stanisława Sierstrzeńczewicza Bohuna” i w in.

W uznaniu tej naukowej pracy, spotkało młodego uczonego owo wysokie odznaczenie.

H. R.



Na lewo, na pierwszym planie, „fora” cesarskie: Trajana, Augusta (z świątynią Marsa-Mściciela), Julii (z świątynią Wenery), Nerwy i Wespazjana. W głębi Termy Trojana. W części środkowej na pierwszym planie Kapitol (z zamkiem i świątynią Junony na lewo, a z świątynią Jowisza na prawo); bardziej w głębi Forum Romanum; na ostatnim planie w głębi - Amfiteatr Flavium (Colosseum). Na prawo w głębi - Pałacyn z pałacami cesarów i Circus Maximus. Na pierwszym planie - teatr Marcellusa.

Rekonstrukcja Rzymu Cezarów.

Każdy, kto błądził wśród ruin starej światowładnej Romy, niezawodnie usiłował, napróżno, odtworzyć sobie w fantazji ów obraz potężny, jaki te świątynie i pałace, te łuki tryumfalne i termy, teatry i biblioteki, trybuny, studnie, kolumny i statuy, przedstawiały, zanim upadek imperium rzymskiego i starych bogów, ząb czasu i niszcząca ręka ludzka zamieniły obraz ten na gigantyczne ruiny, które dziś tylko badaczowi mówią, czem niegdyś były. Rysownicze i malarskie rekonstrukcje miasta cesarów były też częstokroć podejmowane, a w szczególności odtwarzano nieraz *fora*, w których świetność cesarskiego budownictwa osiągnęła swój zenit. Obecnie, po raz pierwszy, znakomity badacz starożytności rzymskich, prof. Giuseppe Marcelliani, dokonał po wielu latach pracy wielką plastyczną rekonstrukcję centralnej części cesarskiego Rzymu, zabudowanego najwspanialszymi budowlami, od Awentynu po stoki Kwirynału i od Kapitolu do Termów Trajana. Model ten olbrzymich rozmiarów (36 metrów długości), oparty ściśle na naukowej podstawie, ogląda publiczność rzymska z zajęciem u wejścia na „forum romanum”, gdzie został czasowo wystawiony na widok publiczny.

Rzym.

Wł. S.



Oczy.

Jeden ze współpracowników paryskiego „Matin’a” wpadł na oryginalny pomysł.

Zebrał kolekcję oczu ludzkich. Ma się rozumieć, nikomu w tym celu oczu nie wylupiał, tylko poprostu wycinał je z fotografii.

Wiemy bowiem wszyscy, że „oczy są zwierciadłem duszy”. Utarło się to przekonanie od wieków. Sprytny dziennikarz francuski postanowił sprawdzić je doświadczalnie. Jeśli jest tak naprawdę, rozumował, to każdy człowiek, posiadający jaką taką przenikliwość, będzie mógł, gdy mu się pokaże fotografię oka, wyczytać z niego, jak chiromanta z linii ręki, w najogólniejszych przynajmniej zarysach charakter i usposobienie istoty, która tem właśnie okiem różowo czy czarno na świat patrzy.

Dla większej zaś pewności udał

się nie do przeciętnych śmiertelników, lecz do fachowych, jeżeli tak można powiedzieć, znawców duszy ludzkiej. Byli nimi: dwóch profesorów psychologii na wszechnicy paryskiej (Bergson i Dumas), dwóch autorów dramatycznych (Capus i Tristan Bernard), dwóch deputowanych, znany aktor Gemier i naczelnik wydziału antropometrycznego przy prefekturze paryskiej, Bertillon.

Każdemu z nich pokazywał swą kolekcję, złożoną z dwunastu sztuk, i zadawał trzy pytania:

Czy zapytywany poznaje, czyje jest oko; jeśli nie, czy może określić, czy jest męskie, czy kobiece.

Co może wogóle powiedzieć o charakterze danej osoby.

Odpowiedzi wypadły dość zabawne. Okazało się przedewszystkiem, że znajomego „po oku” poznać absolutnie niepodobna. Tak samo trudno odróżnić oko męskie od kobiecego. Autor dramatyczny, Tristan Bernard, patrząc przez chwilę na fotografię oka ministra Brianda, zdziwił się, iż nie mógł odrzuć poznać, że jest to oko... Sary Bernhard. Nie lepiej wypadły i charakterystyki.

Słowem, opierając się na wynikach owej ankiety, można zacząć grubo powątpiewać, czy naprawdę „dusza odzwierciadla się w oczach”.

Pisali o tem poeci...

Aparat fotograficzny mówi co innego...

Rzecz to łatwa zresztą do sprawdzenia. Trzeba mieć tylko aparat fotograficzny, no, i tyle dobrej woli i czasu, co ów współpracownik „Matin’a”.

Paryż.

S.



Oko ministra Brianda.

Oko trybuna socjalistycznego, Jauresa.

Oko prezydenta M. Roosevelta.

Wieża Eifla, jako stacya radio-telegraficzna.

Był czas, że miano ją w pogardzie. Opatrzyła się paryżanom i zwiedzającym Paryż turystom. Coraz mniej osób jeździło windą na jej szczyt, aby stamtąd nie właściwie nie zobaczyć.



Wieża Eifla.

Nie była na nic potrzebna w mieście. A nie miała za sobą wiekowej tradycji, jak np. piramidy egipskie, by budzić próżną ciekawość.

Nareszcie dano jej zastosowanie praktyczne.

Urządzono mianowicie na jej szczycie stację telegrafu bez drutu.

Tak bezużyteczny o wiązaniach żelaznych kolos, który dotychczas służył jedynie próżności ludzkiej, stał się w szczytu swego skrzytnym przyjmcielem wiedzy ludzkiej: niemal już myśli, błądzącej w przestworach.

I oto przed paru dniami radiotelegrafia świeciła swój tryumf. Stacya na wieży Eifla otrzymała pierwszą depeszę, przesłaną bezpośrednio z Casablanki.

Odległość między Paryżem a marokańskim portem wynosi 1900 km. Znaczenie faktu na tem polega, że po raz pierwszy dopiero udało się przesłać depeszę bez drutu na tak odległą przestrzeń.

P. Clemenceau będzie się mógł bezpośrednio z pola walki dowiadywać o swoich kłopotach marokańskich, które, jak może, tak mu się stara osłodzić w Warszawie dyrektor Zalewski.

Paryż.

Snob.

Z rozmów i wrażeń.

Jakie wrażenia nieci dzisiejsza Warszawa w przyjeździe?

Człowiek, stale przebywający w pełnym otoczeniu, staje się mniej wrażliwym na objawy życia tegoż otoczenia. Jego zmysł spostrzegawczy znieczula się. W pamięci mamy wszyscy te niedawne czasy, kiedy złowrogi huk bomby należał do wypadków niezwykłych, a echa salw rewolwerowych i karabinowych docierały niemal codziennie do naszych ognisk domowych, kiedy na chodnikach śródmiejskich ulic stale widzieć można było ślady krwi. I mimo uczucia lęku, którym przesiąknięta była atmosfera, miasto — z wyjątkiem paru szczególnie okrutnych dni — nie przestawało żyć życiem codziennym, po trotuarach snuły się tłumy, kawiarnie i restauracje wrzały zgłębkiem. Przywykliśmy do odgłosów burzy, która szalała nad nami, i pomimo jej grzmotów i piorunów mieszkaniec Warszawy pracował, troskał się o chleb powszedni, kochał się, bawił, żywiołowym instynktem życia przystosowywał się do anormalnych warunków bytu, zapominając nieraz o ich niezwykłości. Z drwiącym uśmiechem czytał depesze i korespondencje w zagranicznych dziennikach, pocieszając się, że „zdaleka wszystko to znacznie straszniej wygląda...” W istocie zaś i zbliższa wyglądała strasznie, tylko oczy nasze przywykły były w końcu do widoku krwi, nerwy — do niebezpieczeństwa.

Jakie wrażenie czyni obecnie Warszawa, po trzech latach walk i niepokojów, po okresach złudnych nadziei i cierpiących rozczarowań, — czyż nie się w niej nie zmieniło, czyż na obliczu jej nie zostały ślady bólów duchowych i ran zewnętrznych? To pytanie nasunęło mi się bezwiednie, gdy odwiedził mnie jeden z najznakomitszych niewątpliwie publicystów polskich, Tadeusz Smarzewski, który dwanaście lat spędził w naszej stolicy i zna jej życie nawylot, a który teraz blisko trzy lata w niej nie był, te trzy lata właśnie, o których „starzy będą lubili bąkać, o których zapewne pieśń nie zamarzy...” Tadeusz Smarzewski posiada w wielkim stopniu dar spostrzegawczy i ciągłą, czynną *chęć* badania objawów życia we wszystkich jego dziedzinach, pragnień, nastrojów i stanów duszy. Więc byłem ciekaw, jak znalazł po długiej nieobecności Warszawę, jakie zmiany w niej postrzegł,

jakie wrażenie na nim zrobiła w dzisiejszych, bądź co bądź niemalże zmienionych warunkach politycznego istnienia.

Smarzewski, jak zwykle, gdy chce skupić myśli, zamilkł na długą chwilę, począł chodzić dużymi krokami po pokoju; wreszcie stanął przedemną i zaczął mówić.

— Pierwsze i główne uczucie, jakiego doznałem niemal od razu, a które nie opuściło mnie później na moment, było, że Warszawa posmutniała. Warszawa i całe Królestwo jest smutne. Ciężkie bolesne przejścia odbiły się i na wyglądzie zewnętrznym, i na całej duszy zbiorowej. Warszawa jest smutna, mimo „Illusionów”, jarmarcznie przystrojonych jej główne ulice, mimo „kawiarni z muzyką”, które rozrodziły się, jak grzyby po deszczu, mimo szklanek z szampanem, pieniących się co wieczór na śnieżno białych stołach Bristolu. Gdzie tylko sięgnąć głębiej, wszędzie spotyka się troskę, rozczarowanie, ból, smutek. Tyle złudzeń, hodowanych tkliwie przez dziesiątki lat, pękło nagle, niby bańki mydlane. Sztuczne powstrzymanie życia politycznego nie mogło zostać bez skutków. Warszawa zapomniała, że polityka — to żmudna i długa droga wysiłków pracy i zawodnych często walk, droga, którą przebyć może tylko wytrwałość, że w polityce zwyciężać nie uczucie, ale siła i zrzeczność. Jakie pojęcia wytworzył okres ucisku, o tem może świadczyć fakt następujący. Przed kilkunastu laty jeden ze znanych i najbardziej szanowanych tutejszych działaczy, — kiedy prześladowania pruskie przybiebrały ostrzejszy charakter, — zapewniał mnie w tonie poważnym:

— Jest na to sposób. Poznań za słaby, by się bronić, ale Warszawa znajdzie dość siły, by mu pomódz. Sienkiewicz napisze wspaniałą mowę, a jeden z naszych posłów do Sejmu Rzeszy przetłumaczy ją i wypowie. Obaczy pan, jakie wrażenie będzie w parlamencie niemieckim i w całej Europie, obaczy pan, co się stanie z katyzmem!

Większości społeczeństwa wydawało się, że skoro Rosja zyska konstytucję, wraz dla Królestwa nastaną zdawna oczekiwane czasy wolności i pomyślności narodowej, że ziszczą się natychmiast najśmielsze marzenia narodowe. I oto przyszła konstytucja, — i cóż się stało z naszymi pragnieniami i nadziejami? Marzenia nie ziściły się, ale natomiast Warszawa i Królestwo przeszły przez okrutną gehennę klęsk i bólów.

Te klęski i bóle wszakże nie minęły bez śladu. Stykając się z ludźmi z różnych warstw i z najróżniejszych obozów, postrzegłem teraz w umysłach społeczności warszawskiej niemalże zmiany. Już nie określa się każdego czynu stopniem patriotyczności lub niepatriotyczności, ale jego celowością i skutecznością. Twarde doświadczenie lat ostatnich nauczyło Warszawę myśleć kategoriami myśli politycznej. Budzić się zaczyna myśl polityczna, zdająca sobie sprawę, że nie wszystko, co ma pozory patriotyczne, może przynieść korzyść ojczyźnie, że polityka nie może polegać na ciągłym schlebieniu narodowi w jego pragnieniach i ambicjach, ale na trudnej, często bolesnej walce o zdobywanie nowych praw, o osiągnięcie coraz lepszych warunków narodowego bytu. Spotykam coraz więcej obywateli, rozumiejących, że aby żądać, trzeba mieć za sobą siłę, któraby te żądania popierała, że tę siłę w parlamencie zdobywa się przez powagę własnej reprezentacji i przez sojusze, jaki ta reprezentacja umie zawierać z innymi stronnictwami, które, rzecz oczywista, nie poprą nas bezinteresownie.

— A w życiu społecznym? zagadnąłem.

Po chwili namysłu Smarzewski mówił.

— Życie społeczne Warszawy i Królestwa niewątpliwie tętni spieszniejszym pulsem. Powstało wiele bardzo użytecznych warsztatów pracy zbiorowej. Słyszę ze wszech stron, że stają przy nich liczne szeregi ludzi chętnych i gorliwych. Tu i owdzie zapal okazał się ogniem słomianym. Inaczej być nie mogło. Ale niemal z tych warsztatów znalazło się w rękach dzielnych, i podjęty trud obiecuje być owocnym. Kółka rolnicze, jak słyszę, rozwijają się przeważnie nader pięknie. Szkoła prywatna polska, po nieuniknionym procesie fermentu, zaczyna funkcjonować coraz poprawniej. Wracą do niej ład i rygor. Opowiadano mi, że w jednej ze szkół warszawskich uczniowie wyższych klas sami zwrócili się do profesorów z prośbą, by mówili do nich „ty”, gdyż tak bywało w dawnej szkole polskiej. W prasie warszawskiej podniósł się znacznie ogólny poziom. Ton jej stał się poważniejszy i głębszy. Choć teraz reakcja daje się we znaki, to jednak czyż można porównać dzisiejsze warunki dziennikarskie z temi, jakie panowały dawniej? Pamiętam przecie, jak w 1894 r., kiedy drukowałem w „Gazecie Polskiej” wrażenia z podróży po Szwajcarii, cenzor

wykreślił mi nazwisko Mickiewicza, zacytowane przy wspomnieniu z pobytu wieszca na Splügen. W wielu gałęziach wytwórczości krajowej, jak mię zapewniali rzeczoznawcy, położenie poprawiłoby się niezwłocznie, gdyby na przeszkodzie nie stało zdemoralizowanie, czasem wprost zdziczenie robotników. Przemysłowcy, z którymi rozmawiałem, twierdzą, że gdyby wróciły normalne warunki pracy, z łatwością odzyskalibyśmy rosyjskie rynki zbytu.

Najmniej, jak widzę, odczuła rewolucyjny okres wieś. Nasz chłop bardzo słaby i powierzchowny udział wzięł w tem, co się działo. A jeśli poprawiły się warunki płacy służby folwarcznej, to stało się tylko zadość sprawiedliwości, bo były one zbyt niskie, — i dziś jeszcze wcale nie są za wysokie.

— Zatem ogólne wrażenie?

— Mógłbym powtórzyć słowa Michała Bobrzyńskiego, który wróciwszy do Krakowa przed trzema laty z Warszawy, wyraził się krótko i węzłowato: „Jest tam, po odliczeniu żywiołów obcych, zawsze jeszcze przeszło 8 milionów Polaków na kupie. Cóż im mogą zrobić?” Na każdym kroku znać tu niewątpliwie ślady strasznego wstrząśnienia, ale sam fakt, że Warszawa wstrząśnienie to przetrwała, nie przestawszy pracować, kształcić się, zbierać składki, a nawet się bawić, świadczy o nagromadzeniu w tem mieście takich zasobów zamożności i energii, jakich napróżno byśmy szukali w którymkolwiek zakątku polskim.

Gdy mowa o przyszłości, nie wolno zapominać, żeśmy weszli w okres życia politycznego, że z chwilą, w której to się stało, wzięliśmy na barki odpowiedzialność bez porównania większą, niż ją dźwigało pokolenie, żyjące bezpośrednio po powstaniu, i że tej odpowiedzialności żadna siła z nas nie zdejmie. Niepodobniestwem jest linią wyraźną oddzielić życia społecznego od działalności politycznej. Podział pracy możebny jest tylko do pewnego stopnia. Pamiętać o tem powinni i ci, na których naród kierownictwo polityczne zdaje, i ci, którzy nad przysposobieniem sił narodowych pracują po wsiach i miastach. Od odpowiedzialności za niepowodzenia w tej dziedzinie pracy nie będą mogli uchylić się polityczni przedstawiciele narodu, bo każdy błąd polityczny odbić się musi fatalnie na życiu zbiorowem. Rozumna zaś, konsekwentna i energiczna polityka możebna jest wówczas tylko, gdy równolegle z nią idzie prawidłowy, nieustanny i widoczny rozwój wszystkich warstw społecznych.

Gordon.

„Straż polska” w Krakowie.



Komitet i prezydium zawiązanej w Krakowie ogólnonarodowej organizacyi „Straż polska”.

Kronika sportowa.

Samochodem na około ziemi.

Świat automobilowy francuski żyje wciąż pod wrażeniem fantastycznego „raidu” naokoło świata, o którym pisaliśmy już przed paru tygodniami.

Przygotowania do podróży ukończono z iście amerykańskim pośpiechem. Marszruta wyznaczona. W tych dniach współzawodnicy mający wziąć udział w podróży, wyruszają wraz ze swymi samochodami do Nowego-Yorku. Zmają w pierwszych dniach lutego ruszą dalej. A przestrzeń do przebycia mają nielada: 30.000 kilometrów przez dzikie pustkowia.

Teoretycznie uznano raid ów za zupełnie możliwy. Między innemi generał Liniewicz, który zna dobrze syberyjskie szlaki, wypowiedział się w tej kwestyi. W „interwiewie”, ogłoszonym w „Matin”ie” wódtz armii mandżurskiej wypowiedział opinię, iż droga od oceanu spokojnego ku Europie jest mniej trudna do przebycia, niżby się na pozór mogło wydawać.

W podróży biorą udział przedstawiciele różnych narodów. Walka więc będzie podwójna. Nie tylko konstrukcyi maszyn, ale i ambicyi narodowych. Może tym razem uda się Francyi zdobyć palmę pierwszeństwa, którą w raidzie pekińskim wydały jej Włochy. Najbardziej entuzjastycznie się projektem amerykanie. Jeśli wierzyć telegramom pism (wiadomo, że nie zawsze można wierzyć), w nowoyorskim klubie automobilowym toczyły się ożywione dyskusye na temat możliwości przebrnięcia samochodów przez lody i śniegi Alaski. Jeden z uczestników, znawca owych okolic, utrzymywał, iż jest to rzecz absolutnie możliwa. I tak się uniósł, że zaproponował zakład.

— Jeśli przegram, wsadzą mnie na pięć lat do więzienia.

To jest amerykański zapal.

Paryż.

Wto.

Mistrz jazdy polskiej.



Ś. p. Stanisław Niemojewski,

zmarły w swym majątku, Włoszczowie, w Kieleckiem, należał do najznakomitszych i najbardziej zamożnych jeźdźców, którzy tradycyę polskiej jazdy konnej godnie przechowali. Oto, co o nim pisze kompetentny „Jeździec i Myśliwy”: „Droga atawizmu ukołał jazdę staropolską, tę jazdę śmiałą i junacką, jaką odznaczali się nasi „kozacy” i „Lisowczycy” w XVII stuleciu”. — „Ukołał konia stepowego, kulbakę, rymsztunek, nabijany srebrem, i gdy siadł na wysokim łęku, puszczał się z „wiatrem w zawody”, nie znając przeszkód i złych dróg”. Stanowił ś. p. Stanisław Niemojewski „plastyczny obraz polskiego jeźdźcy z pod „lekkih znaków”, celował zręcznością, siłą, fantazyą, w koniu szukał dzielności, zwrotności i niepospolitych chodów: rozumiał konia. Warszawa podziwiała go w 1880 r. na wystawie, gdy brał konkursowe przeszkody.

Ożeniony był ś. p. Niemojewski z księżniczką K. Golicyń, pozostawił syna Sergiusza, który jest wice-prezensem Radomskiego Tow. Wyścigów Konnych, a który tradycyę dzielnej jazdy konnej po ojcu zachowuje. Zmarły liczył 74 lata czterstego, sprężystego żywota.

[Signature]



W wielkiej halli machin p. Michalski udziela nam informacji o śmiertelnym wypadku.

W fabryce, skalanej krwią...

Pozabójstwie ś. p. Henryka Hantkego.

Dorożka, z dzielnicy gładkich bruków i zalotniej utrzymywanych wielkich kamienic mieszkalnych, zwolna, walcząc z wybojami oraz nierównościami prawie skamieniałego śniegu, po czerniałego od miazgi węglowego, wjeżdża na teren dyszącej dymem i parą pracy fabrycznej.

Dnia 30 stycznia, przed gmachem fabryki „B. Hantke”, na ulicy Srebrnej, ożywionej ruchem ludzi i wozów, zamordowano dyrektora głównego, ś. p. Henryka Hantkego.

Wypadek to równie smutny, jak i rozgłośny. Ofiarą tak zwanych dziś „walk ekonomicznych” padła jednostka w sile wieku męskiego, potomek zasłużonego promotora wielkiego przemysłu w Polsce, sam nie mniej gorliwy a czynny pracownik na niezmiernie ciężkiej obecnie niwie wytwórczości krajowej.

Jeden z główniejszych pracowników obszernego biura fabrycznego przyjmuje mnie w pokoju interesantów. Wczoraj dopiero mord został dokonany. Twarz urzędnika, pełniącego rolę gospodarza, pod świeżym wrażeniem wybladła; mówi i porusza się nerwowo.



Ś. p. Henryk Hantke.

— Zapytuje pan o przyczyny zabójstwa prezesa? Zaczyna się u nas, jak w nieszczęsnej Łodzi. Trwające od lat trzech walki ekonomiczne wywołały zastój w przemyśle. W listopadzie r. z. zaczęliśmy odczuwać brak pracy. Na-

sza fabryka zatrudniała 800 robotników. Zaszła konieczność zmniejszenia personelu. Dnia 30 listopada zwolniono 200 robotników po zapłaceniu im zarobków za dwa tygodnie z góry. Dnia 30 stycznia do p. H. Hantkego, w chwili, gdy wsiadał do dorożki, jeden z grupy trzech napastników, — jak opowiadają świadkowie, — dał 8 strzałów z brauninga. To wszystko, co mogę wyjaśnić.

Informacje nie wystarczają mi: nadmaje p. Michalski udziela obszerniejszych.

— W listopadzie r. z. — mówi, — mieliśmy pracy tak mało, iż fabryka była czynną tylko trzy dni w tygodniu. P. Hantke, jako głównie odpowiedzialny wobec akcjonariuszów, najbardziej też trapił się położeniem finansowym naszych zakładów. Pewnego dnia wzywa mnie i powiada:

— Tu nic nie pomoże. Niepodobna pracować z całym personelem, gdy niema zamówień w liczbie dostatecznej. Na co odrzekłem:

— Możeby p. prezes zwołał delegację robotniczą i wraz z nią uradził, co czynić należy.

Delegacja nie zgodziła się na ustępstwa, kładąc nacisk na położenie krytyczne, w jakim znalazłoby się 200-stu wydalonych. Wtedy p. Hantke zwołał majstrów wydziałowych i polecił, aby każdy z nich wydał odpowiednią liczbę pracowników. Ludzie przyjęli wynagrodzenie za dwa tygodnie na sumę łącznie około 2000 rub. i rozeszli się spokojnie.

— Czy tylko ten spokój nie zapowiada burzy? — zapytywał prezes, w kilka dni po tym fakcie obchodząc fabrykę.

Tymczasem w interesach zakładów nie było poprawy. Mielśmy zajęcia niewiele, a przynajmniej tylko dla 600-set robotników.

Coś w 3—4 tygodnie, p. Hantke polecił wywiesić zawiadomienie, iż dodatki do zarobków w normie 15%, przyznane robotnikom podczas znanych wydarzeń strejkowych, będą cofnięte.

Ostrzegano prezesa, iż redukcja ta może wywołać niezadowolenie, na co odpowiedział:

— Przemysł nasz znajduje się w nader ciężkich warunkach i jeżeli nie zmniejszymy kosztów produkcji,



Zabójstwo zostało dokonane przed podjazdem frontowego gmachu fabrycznego (Srebrna 6).



Na podwórzu fabrycznym robotnicy po wieści o krwawej przygodzie.



Wieść, smutkiem przejmująca, udziela się ludziom, pracującym przy „kąpielach siarczanych”.

Plac, napełniony wyrobami gotowymi, jak: szruby, mutry i gwoździe.

zagroza mu zupełna ruina. Konkurencja z Niemcami jest coraz trudniejsza do wytrzymania, zwłaszcza wobec cel, większej liczby godzin pracy w Niemczech, ładu warunków tamtejszych i t. p.

Tak więc od poniedziałku dnia 27 stycznia ludzie pracowali już bez dodatków piętnastoprocentowych. Fabryka rozesała agentów, zaopatrzonych w cenniki, stosunkowo niższe. To dało nadzieję przysporzenia zamówień.

W dniu wypadku prezes przyjechał do fabryki później, niż zwykle, bo o godz. 4 po południu; opuszczał ją około godziny 5^{1/4}, i w tymże czasie została dokonana napaść.

Myśmy się dowiedzieli o nieszczęściu już po fakcie, ponieważ ulica od zabudowań fabrycznych, jak pan widzi, jest znacznie oddalona.

— Nie wiadomo panu, czy p. Hantke otrzymywał ostrzeżenia lub pogroźki?

— Nikt z nas o tem nie słyszał. Dodam, iż z liczby owych 200-stu wydanych niedawno przyjęto z powrotem 25-ciu robotników.

Po wywiadzie powyższym, udaje-

my się w głąb fabryki dla dokonania zdjęć fotograficznych.

Nastroj pracowników zwykły, bo też inny być nie może. W kuźniach, oddziale widel, szpadli, gwoździ, „mutter“, drutów i szrub, istnieje nader ścisły podział pracy. Materiały, rozpalone do białości, nieraz przechodzą przez kilkanaście (widły przez 27) rąk, zanim po wykończeniu ostatecznym przejdą do magazynu.

Żaden z robotników nie może ustać w pracy, gdyż to wywołałoby przerwę na całej linii. Krążymy wśród wielkich przestrzeni, których ciemnię rozjaśniają czerwono-białe płamy rozpalonego żelazta. Robotnicy poruszają się automatycznie przy młotach parowych, „sztancach“, walcach, piecach, kowadłach, wałach, parnikach i bębnoch. Wielkie pręty, rażące wzrok swoją barwą płomienną, i nie mniej rozpalone: mutry, rury, widły, szruby i t. p. przelatują nad naszymi głowami, przerzucane od warsztatu do warsztatu. Grube fartuchy skórzane, maski na twarzach i ochrony drewniane, wszystko to — na tle wielkich płomieni lub wśród

snopów iskier, przypominających bające ognie sztuczne.

Huk, zgrzyt, tarcie, szalone obroty stempli, furkanie setek pasów transmisyjnych, grzmiące uderzenia młotów, drganie ścian, wstrząśnienia podłóg betonowych lub ubitego klepska.

Ludzie stanowią ogniwa wielkiego łańcucha pracy, a każdy z nich porusza się w zależności od sąsiada. Wszystko tu miarowe: sapanie walców, pograżonych w wodzie, uderzenia młotów automatycznych, obroty tłoków i wybuchy pary.

W podobnych warunkach mowy być nie może o jakimś szczególnym nastroju robotników, dotkniętych śmiercią zwierchnika, śmiercią, która nastąpiła tak niespodziewanie i w formie wstrząsającej.

Sześciuset robotników obchodzi zgon prezesa przyspieszonym pochylaniem głów, wyginaniem pleców, poruszeniami rąk żyłastych, oraz stóp, kierujących regulatorami.

Życie ani na chwilę nie przestaje drgać w tej wielkiej fabryce, której główny ster do wczoraj spoczywał w rękach ofiary wielkich przewrotów czy też omyłek społecznych.

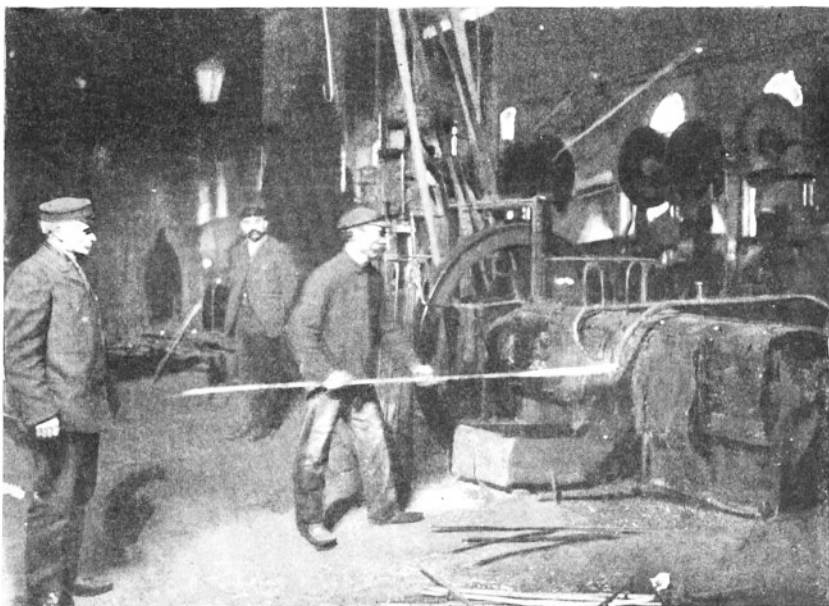
F. R.

Nazajutrz po odwiedzinach naszego współpracownika, t. j. w ubiegłą sobotę, fabryka Tow. Akc. B. Hantke została z rozporządzenia władz zamknięta. Według ostatnich wieści, na skutek zabójstwa ś. p. H. Hantkego, akcyonaryusze zagraniczni postanowili zwinąć zupełnie ten wielki zakład przemysłowy. Byłby to skutek, zgoła nie przewidziany przez organizatorów „terroru ekonomicznego“, — straszny dla setek rodzin, które utracą w ten sposób utrzymanie.



Stowarz. Robotników Chrześcijańskich w Wiedniu.

Założone przed ośmiu laty w Wiedniu polskie Stowarzyszenie chrześcijańskich robotników i robotnic pod hasłem „Ojczyzna“, z wielkim pożytkiem rozwijające się dla celów braterskiej łączności i pomocy, odegrało 26 stycznia „Betleem Polskie“ Rydla. Stowarzyszenie to, choć ubogie, kroczy o własnych siłach i rozwija się nader znacznie.



W wielkiej kuźni fabrycznej.

Turniej w III-ciej Dumie.

Ciekawy odbył się turniej w Dumie. Z jednej strony stanęli, z góry o przegranej przekonani, „kadeci“, z drugiej—stanął, z góry oklasków w tej Dumie pewny, p. minister finansów, Kokowcew. Wystąpili „kadeci“, orędując za prerogatywy poselskie, opierając się na logice i konieczności rozwinienia praw konstytucyjnych; wyzwaniem to podniósł p. Kokowcew, a do walki stanął, przywdziawszy na siebie pozorne szaty tegoż konstytucjonalizmu. Przemawiali „kadeci“ tak, jak posłom, co wysoko chcą nosić godność poselską, przystoi; przemawiał p. Kokowcew tak, jak mówi biurokrata: mowy jego w tym przedmiocie, nieco wyżółkłe, bez tła, bez głębszej treści, rzekłbyś. kancelaryjne przypominały *bumagi*. Przemawiali „kadeci“, na straconą idąc pikietę, raczej dla zasady, raczej dla szerokiej opinii o gość, wśród najbliższej atmosfery, nieżyczliwością dysząc; przemawiał p. Kokowcew nie już do życzliwych, ale do sług swoich, wśród których, zawsze gotowa, zrywała się nieraz burza oklasków prawicy i centrum.



Kokowcew, min. finansów.

O rzecz ważną i zasadniczą chodziło. Chodziło bowiem o rozszerzenie praw Izby Państwowej w zakresie kompetencji uchwalenia budżetu.

Obowiązujące w Rosji w tym przedmiocie prawo, z dnia 8 marca 1906 roku, nie daje Izbie Państwowej pełni praw do decydowania o sprawach budżetowych. Naprzód, część budżetu zgoda jest z pod obrad Dumy wyjęta, ta mianowicie, która się ściąga do wydatków Ministerium Głównu i Kancelarii Cesarskiej (w granicach kredytów z r. 1906), oraz te wydatki, które idą na zaspokojenie długu publicznego, jak również olbrzymia część wydatków budżetowych.

Wymownym rzecznikiem „kadeciego“ wniosku był referent tej sprawy, przez frakcję „kadetów“ delegowany, poseł Adżemow. Wykazał on i wyświetlił sprawę całą przed Izbą,—przed tą Izbą, naturalnie, naprzóżno. Nawet o zachowaniu pozorów utrzymania godności swej nie pomyślała Duma. Pochopnie zdecydowano zamknąć listę mówców,—widocznie, by J. Ekskelenści nie robić przykrości. Tak się zachowuje Duma trzecia, ta „rosyjska“ Duma, w sprawach swego honoru. Tam, gdzie na Zachodzie walki o te przywileje toczono, Duma sprawy te spycha—„uprzejmie“. Nie przemienię wieki bez skutku: nauczono się słuchać.

Gorąco przemawiali mówcy z opozycji. Wspaniała, niemal dwugodzinna

mowę wygłosił poseł Szingarew; ze słów jego przebiegało, iż sprawę przemyślał głęboko, dowodzenia skonstruował logicznie, mowa jego tryskała świętością argumentacji i dowcipem.

Ale nie to. Niemal każdego mówcę uważał p. minister finansów za ry-



Adżemow, poseł K. D.

cerza, co mu osobiście przysła wyzwanie. I szedł na tę walkę p. minister, uważając sobie Dumę za arenę łatwych, bo z góry przyznanych mu, zwycięstw w turnieju, pragnąc zarazem dyskredytować rzeczników stronnictwa wolności ludu. Niedosć,

że przed sąd powołana była biurokracja tych przedstawicieli tego stronnictwa, co w Wyborgu byli udział przyjęli. Tu jeszcze chodziło o „zgnębienie“ do reszty—w oczach „barskiej“ Dumy naturalnie—tych znienawidzonych „kadetów“.

I wystąpił do walki zapasniczej p. minister finansów, przywdziawszy nie zbyt może dlań wygodne barwy przeciwnika swego: barwy konstytucjonalizmu. Dowodził z większą monotonią, niż logiką, że rozszerzenie praw budżetowych Dumy stałoby w sprzeczności z prawami zasadniczymi ustroju konstytucyjnego, gdyż podług tych zasad żadne prawo nie może być skasowane lub zmienione inaczej, jak przez uchwalenie nowego prawa. Zbyteczny, a w każdym razie źle dobrany, był ten puklerz, z za którego pociski odpowiedzi rzucił p. minister. Powinien był bowiem wiedzieć, że nie naruszalność praw, do chwili ich zmiany, jest podwaliną i ostoją wszelkiego prawdziwego konstytucjonalizmu, że zasada ta istnieje i obowiązuje wszędzie na Zachodzie, tam właśnie, gdzie nie ma ograniczeń kompetencji przedstawicielstwa narodowego. I niema tam tej kolizji prawno-państwowej zgoda, albowiem nauka skarbowości już od dawna orzekła, że uchwalanie budżetu przez reprezentację narodową jest samo przez się aktem prawodawczym: uchylając więc tym sposobem wydatek, na prawie oparty, uchyla się do prawo przez nowy akt prawodawczy. przez uchwalenie właśnie nowego prawa. Ale „konstytucyjny“ minister gotów walczyć—nawet z wynikami nauki.

Za dobrą monetę przyjęła Izba to wszystko, ta Izba dzisiejsza, która niczem innym nie jest, jak tylko nowym posłusznym departamentem, co spełnia to, co mu polecono. Turniej ostatni, jaki się w oczach tej Dumy pomiędzy biurokracją a opozycją rozegrał, wyraźnie i niedwuznacznie odzwierciedla nastrój większości tej rządowej „barskiej“ Dumy.

Na turniej ten z łoża ministeryalnej patrzył też p. Stolypin, zadowolony ze „swoich“ ludzi.

Petersburg.

H. R.

Ślub miliardarki.

Młody arystokrata węgierski hr. Laszlo Szechenyi poznał i pokochał miliarderkę amerykańską, pannę Gladys Vanderbilt.

Oczywiście uroczą. Jakże by inaczej! Papa Vanderbilt udzielił młodej parze swego błogosławieństwa i 27 stycznia odbył się w Nowym Yorku ślub, który przeprzechem swoim przewyższył niejedne gody królewskie.

Pisma francuskie i angielskie pełne są opisów tej uroczystości. Mylilby się jednak, toby sądził, że osoby nowożeńców odgrywają w opisach tych jakąkolwiek rolę.

Najmniejszej.

Chodzi o to, ile co kosztowało. A więc koszt samych kwiatów, któremi udekorowano pałac Vanderbiltów na uroczystość obrzędu ślubnego, pochłonił sumę 250,000 franków. Bez mała 100,000 rubli.

Wartość podarunków ślubnych, które nowożeńcy otrzymali od przyjaciół, wynosi sześć milionów franków.

Oczywiście, po za takimi cyframi ludzkie giną, —nie ma ich.

Sam ślub przypominał fantastyczną „férie“. Matka panny młodej podejmowała gości w o. brzymim salonie, urządzonego w stylu Ludwika XV. Orkiestra niewidziana, złożona z 65 muzyków, ukryta wśród kwiatów, przygrywała podczas tego melodey z drugiego aktu „Tristana i Izoldy“.

Przy wejściu nowożeńców na salę orkiestra zamilkła. Rozległ się natomiast śpiew chórny, wykonany przez 30 śpiewaków.

Wśród palm i kwiatów, które przemieniły salę w ogród podzwrotnikowy, ukazał się hr. Szechenyi w narodowym stroju węgierskim. Równocześnie z drugiej strony w otoczeniu dam honorowych weszła panna Vanderbilt w atlasowej sukni „ivoire“, zdobnej starami koronkami, których ceny nie oznaczają już nawet historyografowie ślubu.

W tych samych koronkach brała ślub jej matka. Tak zaczynają się tworzyć tradycje.

Po obrzędzie religijnym monsignor Lavallo odczytał „kablogram“ od Ojca Świętego z błogosławieństwem i zaproszeniem nowożeńców do Rzymu.

Oczywiście od rana do nocy pałac Vanderbiltów oblegały tłumy. I choć nie dane było oczom ich widzieć czarodziej-skiej uroczystości, jednak rosły na myśl: ile to kosztuje.

Tak wychodzą za mąż córki miliardów.

W. P.

U wstępu do politycznego życia.

St. Henryk hr. Badeni, syn marszałka Galicji St. hr. Badeniego, zgłosił kandydaturę swą na posła do Sejmu w powiecie buczackim. Wybory, wystuchawszy wyznania wiary młodego polityka, uchwalili poprzeć jego kandydaturę.



St. Henryk hr. Badeni.



POKER MORSKI. *Cesarz*: Stawiam 3 pancerniki typu *Dreadnought*
John Bull: A ja —dziewięć licząc w tem i twoje..

Styczeń.

Mówią nam starzy: Dawniej lepiej było!
(Miłość lat dawnych tkwi zazwyczaj w starcu)
Jednakim trybem wszystko szło, aż miło,
Śnieg padał w styczniu, błoto było w marcu.
Dziś — w styczniu nie wiesz, jesień to, czy zima,
Termometr skacze i błoto się małe,
Z aurą nigdy nic pewnego niema,
Stąd utraciły sławę kalendarze;
Po to się bierze tylko księgi owe,
By w nich wyczytać dni nieprotestowe.

Rzekiby znów *Hamlet*, że „świat wyszedł
z formy”,
I znowu pewnie miałby rację sporą;
Kiedy do jakiej zaś świat wróci normy,
Tego powiedzieć wieszczę się nią biorą.
Od dwóch lat przeszło żyjem [normalnie,
Czekając tylko (jako zwykłej doli),
Z której znów strony los kułakiem palnie,
I czyli bardzo kułak ten zaboli.
Że jednak życie jest aferą krótką,
Tańcząc wołamy: „dziś! dziś!... wesolutko!”

Stąd ozywiony w tym roku karnawał,
I balów w mieście liczba przeobfita,
Że zaś zajmuje długi czasu kawał,
Każdy się może wytańczyć do syta.
Na każdym balu zawsze liczni goście
W teatrach pełno, w kabaretach tłumy;
Będziemy więcej umęczeni w poście,
Niżli postować sławnej trzeciej Dumy,
Którzy, uznając wyższe stanu rację,
Trzytygodniowe spędzali wakacje.

Słusznie zrobili, że na czas świąteczny
Pierzchnęli z Dumy, jak przelotne plectwo,
Mówią albowiem (pewnik to bezspreczny),
Że nic nie męczy tak, jako próżniactwo.
Musi panować tam śmiertelna nuda
I musi senność wiać z postów obliczy,
Skoro się takie wydarzają cuda,
Że *Puryszkiewicz* nawet już nie krzyczy
I jest obawa, by znudzony z kretesem,
Nie został czasem z nudów jakim *esem*.

Niema wątplenia, jest to oczywiste,
Iż nudy chochlik sprawił to zdradziecki,
Że nas uraczył swoim słynnym listem
Nudzając się w Wiedniu, pan *Karol Stawecki*.
Wśród sfer błękitnych, sfer szarych i gminu,
List ten odrazę wzbudził i szemranie,
Lecz pan inżynier rad jest z swego czynu,
Bo czego pragnął, to się też i stanie:
Będzie w historii żył, rozgłosu syty,
Jako *Siciński*, ów poseł z *Upity*.

Niech *Staweckiego* sława dziś kołysze,
Niechaj się cieszy swem *liberum veto*,
Ja wolę czytać, co *Sienkiewicz* pisze,
Chociażby tylko było to — ankieta.



UCZTA NA KORFU, czyli: NARESZCIE SPRZYMIERZONY.

Cesarz Wilhelm: Jaki? Świat cały ze sobą sprzymierzasz, a o mnie to zapomniałeś?...
Król Edward: Cóż znowu! Jesteś tu panem włości greckich na Korfu, a więc biorę także
do przymierza — Grecję. *Prosi!*

Ankieta owa wskazuje po pierwsze:
Że do Prusaków wszyscy czują wstręt,
A zaś po drugie: że chęci najszersze
Europa dla nas ma i — komplementy.
Lecz choć się w szczerość uczuć owych
wierzysz,
Zbyttnio rozczulać się tem nie należy.

Nie rozczulał się uparty *Drzymała*,
Prześladowany przez pruskich bandytów,
Trzyma się ziemi i twardy, jak skała,
Stworzył rycerski zakon *Drzymalitów*.
Ku [pruskich *rathów* i żandarmów] sgrozie,
Liczba wyznawców jego wciąż się mnoży,
Jest już trzynastu — i każdy na woze

Żyjący protest przeciw gwałtom tworzy —
I taką gadką każdy z nich się krzepi:
„Zawdy na wozie, niż pod wozem, lepiej”.

Niechaj ten mocny duch polskiego chłopca
Przeniknie wszystkich traci-poznańczyków.
Choć depce prawa dziś krzyżacka stopa,
Gwałt nigdy dobrych nie daje wyników.
W Wielkopolskach niech hart duszy wzrasta,
Niech jak biblijny nie płaczą *Jeremi*,
Bo choć chce *Prusak* z starych siedzib *Piasta*
I z praocowskiej wywłaszczyć ich ziemi,
Niech się nie boją groźnej jego paszczy,
Ona ich z polskiej duszy nie wywłaszczy.
Krogulec.

Z powodu wtorkowego skandalu w Dumie.



Prezes trzeciej Dumy, *Chomiakow*.



Milukow.



Puryszkiewicz.

Wtorkowe posiedzenie w Pałacu Taurydzkim zakłócone zostało gwałtownymi scenami, których bohaterem raz jeszcze był pan *Puryszkiewicz*. Wystąpił on z tak brutalnymi obelgami przeciw przywódcy kadetów, p. *Milukowowi*, że na wniosek p. *Chomiakowa* Izba uchwaliła wykluczyć p. *Puryszkiewicza* na 15 posiedzeń. Assumpto do tych obelg dostarczyły, jak się zdaje, ogniem u członkowi prawicy odczyty, które wygłosił p. *Milukow* w Ameryce o stosunkach rosyjskich.

Ohydna zbrodnia.

Sprawozdanie i fotografie—zjęte na miejscu przez specjalnego korespondenta „Świata”.

Na wieść o strasznym morderstwie, spełnionem d. 27 stycznia pod Tomaszowem Rawskim w Bielinie, na właścicieli tego majątku, s. p. Henryku Wernerze, i jego małżonce, Pelagii z Willichów, i o wstrząsających szczegółach, towarzyszących zbrodni, wysłaliśmy natychmiast na miejsce zbrodni specjalnego naszego sprawozdawcę i fotografa. Wstrzymując się od wszelkich z naszej strony uwag, notujemy prawie dosłownie wrażenia osobiste sprawozdawcy, tem ciekawsze i tem bardziej zastanawiające, że rzucają one na całą tę sprawę jakiś tajemniczy a ponury cień, potęgujący swą zagadkowością grozę zbrodni.

...Już w drodze pomiędzy Tomaszowem a Bieliną, nawiasem mówiąc, strasznej, chcieliśmy się czegoś dowiedzieć od woźnicy, dorożkarza tomaszowskiego. Nie wiele wiedział, — tylko, że p. Werner był dobry, ludzki

człowiek. A przytem, że w tym dniu jakoby jeździł po pieniądze do pobliskiego miasteczka Ujazdu. Szczegół ten nie zgadza się zupełnie z tem, cośmy potem usłyszeli na miejscu.

Po półtorogodzinnem przeszło wle-

czeniu się przez 8 wiorst, stanęliśmy na miejscu.

Skromny dwór wiejski, bez piętra, jakich u nas setki. Jak się później przekonaliśmy, podobnie skromne a proste jest także urządzenie i umeblowanie.

Z rodziny zamordowanych nie zostaliśmy nikogo. Przyjęła nas najpierw gospodyni, Franciszka Galant, świadek naoczny krwawego zajścia. Na wiadomość, żkąd jedziemy, zawołała ze zdziwieniem:

— Już w Warszawie wiedzą o wszystkim!..

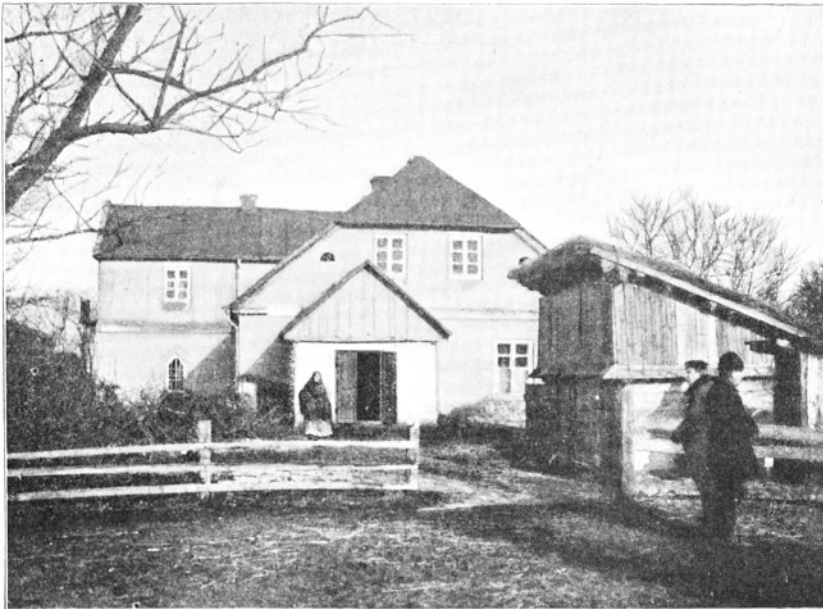
Zdziwienie—nie zbyt usprawiedliwione, zważywszy, że mijała już trzecia doba po fakcie. Wprowadziła nas do środka i zaczęła opowiadać:

— O, tędy, przez kuchnię weszli. Około 7 wieczorem siedziałam tu z praczką i z niańką. Pani Wernerowa weszła właśnie, żeby wydzielać cukier. W tem zapukał ktoś do drzwi.

— Kto tam?..

— Pachciarz... Nie pamiętam, czy powiedział: pachciarz, czy: swój!..

Niańka, która tymczasem weszła także do kuchni, przeczy. Mówi, że na zapytanie nic nie odpowiedziano; że pani, słysząc obcy głos, nie kazała wcale otwierać. Gospodyni jednak otworzyła. Natychmiast wtargnięto siłą do kuchni. Było ich kilku, nie zamaskowanych, ale nikomu nie znanych. Pani z krzykiem zaczęła uciekać przez przyległy pokój gospodni. Padło natychmiast kilka strzałów naraz. Pani, ugodzona w bok i szyję, padła zaraz trupem, tak, że ciałem swem zatarasowała wejście do następnego pokoju, t. j. do gabinetu pana. Pan siedział przy biurku. Na krzyk żony struchlał. Nie dano mu czasu ochłonąć, kilku na-



Tyły dworu w Bielinach, *którędy weszli zbrodniarze.



Front dworu w Bielinach.



Sierotki z niańką (3-letni Józio i jednoroczna Mania).

Choć z zasady unikamy tego rodzaju przykrych zdjęć, to jednak, zważywszy na wstrząsające wrażenie, jakie wywołał w całym kraju napad w Bielinach, nie możemy zaniechać umieszczenia tych fotografii. Stanowią one dokument strasznego zbrodniczego zbrodniarstwa, których ofiarą padli pp. Wernersztwo.

Zdjęcia Warsz. Zakt. Avt. Fot. „Switez”.



Ś. p. Pelagia z Willichów Werner.



Ś. p. Henryk Werner.

Ś. p. Henryk i Pelagia z Willichów Wernerowie. W głębi—rządca p. Godlewski, gospodyni Franc. Galant, służba i włościanie.

pastników, przeskoczywszy przez ciało zabitej, wtargnęło do gabinetu i zaraz nastąpiła salwa. P. Werner, ugodzony kilkunastu celnymi strzałami, został zabity na miejscu i pozostał tak w pozycji siedzącej przy biurku...

Niania na pierwsze strzały wbiegła do pokoju dziecinnego i schowała się pod łóżko. Starszy synek, 3-letni Józio, spał; roczna dziewczynka, Mania (w tym dniu obchodzono właśnie pierwsze jej urodziny), bawiła się na łóżeczku. Na krzyk i hałas, zaczęła płakać. Wtedy niania wyszła z pod łóżka. Zaczęto ją zaraz indagować i grozić:

— Gdzie pieniądze?..

— Nie wiem...

Przyłożono jej łufę do głowy.

— Może w biurku...

— A kiedy pachciarz przynosi pieniądze panu?..—W piątek.

Obiecano darować jej życie, jeśli nikogo nie wyda. Odrzekła, że nie zna żadnego z napastników, więc i tak wydaćby ich nie mogła... Było ich kilkunastu. Połowa tylko z nich weszła do środka, inni pozostali na dworze, pilnując drzwi i okien. Dzieciom, wbrew pierwszemu wieściom, nie się nie stało.—A praczka? Po bezskutecznym usiłowaniu, by uciec przez okno, z kądem ją zawrócono, uderzona w głowę tępem narzędziem, schowała się także pod łóżko.

Weszliśmy do korytarza przy głównym wejściu. Straszny, wstrząsający widok. Na marach dwa trupy, okropnie zeszpecone kulami. W przyległym gabinecie pana—nieład. Meble, przede wszystkim biurko, rozbite, z wysu-

niętymi szufladami. Widocznie szukano pieniędzy.

Zjawił się i rządca, p. Godlewski, także świadek naoczny krwawej sceny. Prosimy, żeby opowiedział...

— Około 7—mówi p. G.—wróciłem, jak zwykle, do mego pokoju, sąsiadującego ze stołowym państwa, i zasiadłem do sporządzania zapisu dziennego. Cała służba była na wieczery w mieszkaniach, odległych dość znacznie od dworu... Nagle usłyszałem przerażający krzyk pani. Zaraz potem salwę strzałów, z których kilka ugodziło w drzwi pokoju stołowego (skonstruowaliśmy na drzwiach ślady 5 kul). Wypadłem z pokoju. Ale na progu bandyta z rewolwerem w rękę zastąpił mi drogę i strzelił do mnie, lecz chybił. Nie mając broni, cofnąłem się napowrót, a pragnąc odwrócić uwagę od mego pokoju, zgasłem lampę. Potem chciałem wyskoczyć oknem, ale przez szpary w okienicy zauważyłem ludzi zbrojnych, strzegących dworu. Pomimo to chciałem wyskoczyć. Nadaremnie, gdyż gospodyni uczepliła się mego palta i nie puszczając...

— Jakto—gospodyni?—zauważyliśmy—przecież ona była w kuchni. Jakim sposobem znalazła się w pokoju rządcy? Którędy przeszła?..

Pani Franciszka Galant, nie bez spuszczenia oczu, pragnie tę rzecz objaśnić: Była tak przełknięta, tak nieprzytomna ze strachu, że sama nie wie, jakim sposobem znalazła się u p. Godlewskiego. Dość, że tam była... Którędy tam przeszła, także nie wie... By to potwierdzić, pokazuje rządca guziki

od palta, oderwane wówczas, kiedy się gospodyni go uczepliła—tak, że nie mógł wyjść na dwór... I mówi dalej:

— Strzelanie trwało 10 minut. Potem przez pół godziny słychać było łamanie mebli z głuchym trzaskiem. Uciekło. Kiedyśmy wyszli z mego pokoju, bandytów już nie było. Znikli bez śladu. Zobaczyliśmy najpierw, że niema pańskiego mautera i browninga...

— A pieniądze?—pytamy.

Właśnie przed pół godziną zdawał p. G. rachunek dziedzicowi z pieniędzy na wypłaty dla ludzi. Z rachunku pozostało 4 rb., które p. Werner zabrał do siebie. Zresztą nie było pieniędzy w domu. Może 9 albo 10 rubli. Nawet trzy ruble w woreczku pozostały na biurku...

— Więc nic nie wzięli?

— Pewnie nic, albo bardzo mało. Pan nigdy w domu pieniędzy nie miał, a wszystkie wpłaty i wypłaty uskuteczniał przez bank w Tomaszowie... Papiery wartościowe w sumie około 50 tysięcy znaleziono w szkatułce—niektóre...

— A kosztowności?

— Nie było. Tylko dwa duże brylanty, które pozostały w uszach zabitej pani. Tak samo pierścionki na palcach i kilka drobnych kosztowności, rozrzuconych na biurku.

Rzeczywiście, nie do pojęcia.

Pozostaliśmy jeszcze czas jakiś, a po uskutecznieniu zdjęć fotograficznych przez p. Kowalewskiego udaliśmy się z powrotem do Tomaszowa...

...Jakiż rezultat zbiorowy naszej wy- cieczki? Pomijam wrażenia osobiste,

przysięgnięcie, straszny widok trupów i t. d. Po ochłonięciu z tego wszystkiego, przychodzi kolej na refleksję. W tym dramacie jest kilka punktów niewyjaśnionych, tajemniczych. Jakim sposobem bandyci, widocznie działający z ułożonym planem i widocznie polujący na upatrzonego, o czym z góry wiedzieli, zadowolnili się łupem kilku rubli? A więc—dokozyli chyba do wypłaty, zamiast zyskać. Bo niewątpliwie urządzili napad dla rabunku. Wszystko za tem świadczy. A nie znalazłszy, czego szukali, pozostawili nietkniętymi nawet brylanty i kosztowności. Że nie unieśli papierów procentowych, tłumaczy się tem, że walorów takich niepodobna spieniężyć bez narażenia na niewątpliwie odkrycie. Morderstwo z zemsty osobistej jest stanowczo wykluczone...

Wszystkie te zagadki pozostają dotąd bez najmniejszego wyjaśnienia.

Holm.

Podług ostatnich wiadomości, aresztowano rządę, u którego znaleziono listy kompromitujące, wraz z nim gospodynię i kilku ludzi folwarcznych.

Sprawa Kiłaczyckiego.

Proces „sensacyjny”: zabójstwo na tle politycznym.

Wielka sala I-go wydziału karnego natłoczona publicznością, pomimo, że wpuszczano do niej za imiennymi biletami; przeważa żywioł prawniczy. Kilkanaście pań, urzędnicy sądowi i t. d. Wśród słuchaczy jest i konsul szwajcarski, p. Zamboni.

Oskarżonego o spółudział w zabójstwie w lutym r. 1906-go naczelnika kolei nad-

wisłańskich inż. Iwanowa, Grzegorza Kiłaczyckiego rząd szwajcarski wydał władzom tutejszym na żądanie rządu rosyjskiego, jako przestępcę karnego; inaczej bowiem Kiłaczycki musiałby być sądzony przez sąd wojenny i groziłaby mu kara śmierci.

Kiłaczycki, młodzieniec 20-letni, o inteligentnym wyrazie

Grzegorz Kiłaczycki.

tworzy, okuty w kajdany, mówi głosem stanowczym, ale spokojnie.

Na pytanie prezydującego przyznaje się do winy całkowicie, zgodnie z brzmieniem aktu oskarżenia, nie chcąc tylko wymienić współników przestępstwa, twierdzi, że brał w niem udział świadomie, że u niego w mieszkaniu odbyła się narada członków partii bojowej „proletaryatu” co do zabicia Iwanowa, który, jak mówi, prześladował robotników kolejowych. Oskarżony był na miejscu przestępstwa i spłoszył ztamtąd agentów policyi tajnej, mogących przeszkodzić zamiarowi, wreszcie po dokonaniu zabójstwa przyjął u siebie w mieszkaniu sprawców zamachu.

„Zabiliśmy Iwanowa nie—jako człowieka (zaznaczył K. w końcu), lecz jako niedogodnego dla nas działacza politycznego”.

Wobec przyznania się, śledztwo sądowe, na przeprowadzenie którego nastawał

KRÓLOBÓJSTWO W LIZBONIE.



Plac Handlowy w Lizbonie. X miejsce gdzie został zamordowany król i następca tronu.



Królowa Amelia.



Król Don Carlos.



Następca tronu Ludwik Filip.

W dniu 1 lutego (w sobotę) wieczorem król portugalski Karol I wraz z małżonką Maryą Amelią i dwoma synami: następcą tronu, 21-letnim Ludwikiem Filipem, oraz 18-letnim infantem Manuelem, powracając z letniej rezydencji w Villa Vicosa, wjeżdżali do stolicy państwa, Lizbony. Policya, obawiając się z powodu dłuższego wrzenia i niepokojów zamachu, przedsięwzięła wszystkie środki ostrożności. Pomimo to, kiedy pochód królewski skierował się z Placu Handlowego na ul. Arsenau, oddział rewolucjonistów, uzbrojony w karabiny Mausera i rewolwery Brawninga, przedarł się nagle przez strażę i zdobył tym sposobem miejsce tuż przy powozach. W tej chwili rozległy się strzały. Skutek był straszliwy. Król Karol, ranny śmiertelnie trzema ku-

lami padł trupem na miejscu. Następcą tronu, również trzykrotnie ranny, przeniesiony do arsenału, skonał w kilka minut. Jadący w drugim powozie infant Manuel otrzymał lekki postrzał w dolną szczękę, tak że życiu jego nie zagraża niebezpieczeństwo. Królowa, chcąc zasłonić syna, otrzymała lekkie draśnięcie. Straż, broniąc króla, zabiła trzech rewolucjonistów; innych trzech zdolano aresztować, reszta uciekła. Zabójstwo wywołało silne wrażenie nie tylko w Portugalii, ale i w całym świecie. Następnego dnia ukazał się dekret rządu, proklamujący królem infanta Manuela. Rewolucyoniści usiłowali również dokonać zamachu na znenawidzonego powszechnie dyktatora wojennego, Franco, zostali jednak przez gwardię i policyę odparci

podprokurator p. Sinickij, było tylko formalnością. Różnica zdań między oskarżycielem i obrońcą mec. Papięskim co do winy i wymiaru kary polegała na tem, że pierwszy domagał się surowej represji za spółudział Kił., jako *niedozwolny* dla spełnienia zbrodni (15 do 20 lat katorgi). Papięski dowodził, że udział Kił. był *zupełnie zbędnym*, że i bez jego udziału czyn byłby dokonany, że śmiecie i szczere przyznanie się do winy dało prokuratorowi jedynie wartościowy materiał do oskarżenia.

Sąd po krótkich naradach przychylił się do wywodów obrońcy i, uznając Kiłaczyckiego winnym *nie koniecznego* udziału w zabójstwie, i po zastosowaniu okoliczności łagodzących, skazał go na 6 lat robót ciężkich.

O.

Z teatrów warszawskich.

TEATR WIELKI. „Zasłona Szczęścia”, obraz dramatyczny w 1-m akcie p. J. Clemenceau; „Poculunek”, komedia wierszem w jednym akcie Banville’a; „Było to pod Wagram”, wodewil w 1-m akcie pp. Grange i Thiboust’a.

„Wieczór francuski”, zdawna zapowiadany, a mający zadokumentować nasze sympatyje dla Rzeczypospolitej, której nawa polityczną steruje obecnie autor „Zasłony Szczęścia”. W jakim stopniu owo przedstawienie wpłynie na losy sojuszu polsko-francuskiego, nie

umiem bliżej objaśnić, ponieważ nie jestem wtajemniczony w arkana naszej polityki zagranicznej. Zdaje mi się jednak, że ta zabawa w wielką politykę jest całkiem niewinna. Nikomu zaskodzić nie może. Ten i ów z organizatorów może nawet odnieść jakąś drobną korzyść. Wolalibyśmy tylko, aby podobne manifestacje teatralne miały charakter poważniejszy pod względem literackim. Jeśli bowiem chciano uczcić Francję, można było wybrać utwory istotnej wartości, utwory, godne reprezentować jej literaturę. Do tego rodzaju przedstawicielstwa nie mogą sobie przecież rościć pretensji ani chłódna robota Banville'a, ani cikliwy i przestarzały wodewil dawno zapomnianej spółki pp. Grangé i Thiboust'a.

O sztuce p. Clemenceau pisałem już w ubiegłym tygodniu. Pomimo doskonałego, zgola artystycznego przekładu polskiego, dramacik ten na scenie nie wywarł silniejszego wrażenia, choć dano mu oprawę niezwykle bogatą. Chińska bajka prezesa ministrów francuskich jest wytworem trzeźwych refleksji: nie ożywia jej mocniejszy nerw dramatyczny, nie spowija w tęczowe barwy powiew szczerej poezji. Aluzyje polityczne do stosunków francuskich nie działają na nasze mózgi. Subtelnemu, nieraz głębokiemu sarkazmowi „premiera” brak tej pierworzutej ekspresji, która podbija audytorium w teatrze. Artyści, z Frenklem na czele, odegrali „Zasłonę Szczęścia” bez zarzutu.

TEATR MAŁY. „Ghetto”, sztuka w 3-ach aktach Hermana Heijermansa.

W tajemnicy, otaczającej mało znany, zazdrośnie w swej rasowej odrębności zamknięty świat żydowski, literatura lat ostatnich wybija wciąż okna i okienka. Szelom Asch odsłania głąb duszy żydowskiej w swych utworach, które są raczej dziełami poety, niż dramaturga. Heijermans wprowadza nas do domowego ogniska rodziny żydowskiej, usiłuje rozwinąć dramat na tle zatargu religijnego i rasowego. Lecz sprawa drażliwa, pełna niewyjaśnionych a serdecznie odczutyh szczegółów, obudziła w Heijermansie płomiennego publicystę. I publicysta przemówił tam, gdzie głos należał się tylko artyście...

Osnowa sztuki jest nader prosta. Syn ślepego handlarza zakochał się w chrześcijańskiej służącej. Młody Rafael otrzymał pewne wykształcenie, które nieci w gorącym sercu bunt przeciw skostniałym pojęciom i zwyczajom otoczenia. Rodzina i przyjaciele chcą „ratować” zapaleńca. Ale jak? Trzeba rozdzielić parę kochanków. Próbuja przekupić chrześcijańską dziewczynę. Ona kocha Rafaela, nie rzuci go nigdy. Więc wyzyskują jej miłość w inny sposób. Oklamują, że kochanek opuścił ją, iż żeni się z córką zamożnego kupca. Dziewczyna idzie za przykładem moniuszkowskiej Halki. Topi się. Rafael nad jej zwłokami złorzeczy tym, co ją do samobójstwa popchnęli.

Romans jest banalny. Rafael jest jednym z tych młodych zrewoltowa-

nych duchów, jakich literatura wydała tysiące. Jego kochanka, mimo że jest dziewczką „do wszystkiego” w żydowskim domu, rozprawia i dyskutuje, jak gdyby skończyła gimnazjum i wybrała się na uniwersytet. Natomiast wszystkie inne postaci pulsują życiem, interesują bogactwem charakterystycznych, świetnie uchwyconych szczegółów. I dla tego „Ghetto”, lubo należy do słabszych utworów autora „Nadziei” i „Dnia zadusznego”, pomimo swej melodramatycznej osnowy i nie wyzyskania dramatycznych momentów, budzi zajęcie i wśród szarego repertuaru naszych teatrów zasługuje na wyróżnienie.

Gawalewicz wystawił sztukę Heijermansa nader starannie. Pp. Czarnecka i Pawłowska, pp. Staszkowski i Weychert w głównych rolach tworzyli zespół bardzo dobry. S. K.

Odpowiedzi od redakcji.

P. Al. Pat. Wiersz „W dzień pogrzebu St. Wysp.” nie będzie drukowany; słaby. Rękopis zniszczyliśmy.

Iksozet. 1) Można. Zürich, Hauptpost, poste-restante. 2) Można, poczta objaśni.

3) Pociągami pocztowym. 4) Wskazówek na miejscu: Szwajcarzy bardzo uczciwi 5) Można, księgarnia Fiszer. Najlepiej objaśni biuro podróży, ul. Kotzebue.

Treść № 6 „Świata”, 1908 roku.

W przededniu gorączki emigracyjnej. (Z 9 il.) Stanisław Kłobukowski.

Król Andrzej. Powieść. Kaz. Telmajer.

Imperializm. Ant. Chłobucki.

Hejnał krakowski. (Z 1 ilustr.) M. Poznański.

Skon Chimery. (Z 3 ilustr.) Ign. Grabowski.

„Podobny lotnemu piaskowi”. (Z 1 ilustr.) n.

Palмира Północy. (Z 1 ilustr.) Kier-Dej.

Odnaczenie ucznogo. (Z 1 ilustr.) H. R.

Rekonstrukcja Rzymu Cezarów. (Z 1 il.) Wł.S.

Oczy. (Z 1 ilustr.) S.

Wieża Eifla, jako stacya radiotelegraficzna.

(Z 1 ilustr.) Snaob.

Z rozmów i wrażeń. Gordon.

Kronika sportowa. (Z 1 ilustr.) Wto.

W 70-tą rocznicę urodzin. (Z 1 ilustr.) S. K.

Kardynał Richard. (Z 1 ilustr.)

W fabryce, skalanej krwią... (Z 7 ilustr.) F.R.

Stowarz. Robotników Chrześc. w Wiedniu.

Turniej w III-ej Dumie. (Z 2 ilustr.) H. R.

Ślub miliardkerki. W. P.

U wstępu do politycznego życia. (Z 1 ilustr.)

Humor i Satyra. (Z 2 ilustr.) Krogulec.

Ohyna zbrodnia. (Z 4 ilustr.) F.

Sprawa Kitaczycykiego. (Z 1 ilustr.) O.

Królobójstwo w Lizbonie. (Z 3 ilustr.)

Z teatrów warszawskich. S. K.

ODDZIELNE ILUSTRACYE.

„Macierzyństwo”. Wacław Szymanowski.

Sukces artysty polskiego w Wiedniu. (2 il.)

Podarty kierec. Vlastimil Hofman.

„Straż polska” w Krakowie.

Z powodu wtorkowego skandalu w Dumie.

J. MIECZKOWSKI.

Fotografia.

Marszałkowska 111. Telefon № 16-81.

Pijcie piwo „Waldszleschen”

Żądać wszędzie.

TEATR „OAZA”.

WIERZBOWA 9, lokal po Stępkowskim.
Plac teatralny

Opery, Operetki, Balet, Sceny rodzajowo-komiczne, Śpiewy najznakomitszych artystów świata, Wyborowy kwartet pod dyr. p. M. Mutzmanna. Lokal wspaniale urządzo-ny. Ceny od 30 kop.

Elixir higieniczny do zębów

Krajowy wyrób

„GLOSSA”

APTEKA
E. GESSNERA

Jerozolimka 27.

Tow. Akc. Browaru Haberbusch i Schiele

1041 poleca PIWO PILZEŃSKIE

NARZĘDZIA LEKARSKIE, bandaże orto-

pedyczne, środki ochronne, wyroby nożo-

wnicze najtaniej

Bronisław Krug

Warszawa, Bracka 18. Telefon 35.4

K. MACHLEJD

POLECA PIWO

Lagrowe, Leżak, Pilzeńskie, Kulmbachilskie i Monachijskie.

LECZNICA DLA DZIECI

d-ra Juliana Gawrońskiego

Plac Ś-go Aleksandra Nr. 18 róg Brackiej, tel. 40.33

Przyjęcia od 9 do 11-ej. Porada 50 k.

KOMPOTY,
CUKRY DESSERTOWE,
MARMELADY,
OWOCE CUKRZONE,
ABRYKOSOW MOSKWA

J. SKWIERCZYŃSKI.

Pierwszorzędny magazyn krawiecki

Erywańska 9. WARSZAWA. Tel. № 19-80.

SKŁAD INSTRUMENTÓW MUZYCZNYCH
GRAMOFONÓW I PŁYT

E. Feigenbaum,

Warszawa, Marszałkowska 141.

Telefon Nr. 83.95.

Największy wybór. Najtańsze źródło.

KABARET ARTYSTYCZNY Codziennie bogaty program Restauracya Jordan i Maliński. sił artystycznych swoich, „VICTORIA” Jasna 8, przy hot.

GABINETY DENTYSTYCZNE I LECZNICA Marszałkowska 153 róg Królewskiej

Lekarza Dentysty STEFANA ŻYAKOWSKIEGO i W. WIKTORA

Leczenie, plombowanie i zęby sztuczne wszystkich systemów. telefon 62.12.

Specyalne Salony dla Pań Marszałkowska 108, I-sze piętro, p. firmą Telef.

Karol, Maksymilian, Włodzimierz. 115-00

CZESANIE, farbowanie, mycie, osuszanie za pomocą maszyny elektrycznej „MANICUR”.

Wiadomości bibliograficzne „Świata”

podane przez księgarnię E. Wende i S-ka (T. Hiż i A. Turkuł) w Warszawie.

(Wydane w grudniu 1907 r.)

Abakanowicz Abdank Brunon. Prace. Tom I. Z portretem autora. 8 w., str. VI+400, Warszawa, 1907. rb. 3.60.

Album sztuki polskiej i obcej. Zeszyt I, II, III i IV. Folio 8 kolorowych obrazów. Warszawa, 1907. Cena zeszytu rb. 2.—.

Balicki Antoni Euzebiusz. Dla ludzi. Powieść. (Luźne karty współczesnego rękopisu). Kraków, 1908, 8, str. 261. K. 4.—.

Bartkiewicz Zygmunt. Słabe serca. 8, str. 292, Warszawa, 1907. rb. 1.80.

Bielski Wincenty. Wzory kwiatów ogrodowych. Podręcznik dla ogrodników i amatorów, 245 rys. z tekstem objaśniającym. Lwów, 1908, 8, str. 101+LXXX tabl. Kor. 4.—.

Boisgobey du Fortunat. Król-Dąb. Gródek Jagielloński, 1907, mała 8, str. 317. Kor. 4.—.

Brzeski Julian z Krotoszyna. Jak się powinien obchodzić urzędnik gospodarczy z ludem roboczym? Poznań, 1907, mała 8, str. 14. fen. 30.

Dicksteinówna Julia. Jeremi polski. (Kornel Ujejski). Wspomnienie w dziesięć lat po zgonie. Warszawa, 1908, mała 8, str. 60. rb. —.30.

Grottger Artur. Lituania (1863). Lwów, 1907, fol., str. nrb. 1 i 6 tablic. Kor. 3.—.

— Wojna, tamże, fol., str. nrb. 1 i tablic 12. Kor. 5.—.

Hahn Wiktor dr. Karol Libelt (W setną rocznicę urodzin). Z trzema rycinami i autografem. Lwów, 1907, 8, str. 46.

Handelsman Marcell. Kara w najdawniejszym prawie polskim. Historia polskiego prawa karnego. T. I. 8, str. IX+266. Warszawa, 1908. rb. 2.—.

Hauptmann Gerhard. Biedny Henryk. Baśń niemiecka. Przełożył Jan Kasprzewicz. Brody, 1908, 8, str. 99. K. 1.60.

Hiż Tadeusz. Wybór wierszy. Warszawa, 1908, mała 8, str. 92. rb. —.60.

Hoesick F. Jan Kochanowski w świetle dotychczasowych wyników krytyki historyczno-literackiej. Kraków, 1908, 8, str. 301. Kor. 4.—.

Jabłonowski Władysław. Rozprawy i wrażenia literackie. Warszawa, 1908, 8, str. 437. rb. 2.—.

Jeziorański Leon. Księga adresowa przemysłu fabrycznego w Królestwie Polskim. IV. 8 w., bez paginacji, Warszawa, 1907. rb. 4.—.

Kalendarz dublański rolniczy na rok 1908. Rocznik VI. Lwów, 16, str. 371+183, Kor. 3.—, rb. 1.30 (opr.). Dodana broszurka. Chmielewski J. inż. Uwagi z zakresu mleczarstwa, 16, str. 26.

Kalendarz Kółek rolniczych na rok 1908. Rocznik IV. Lwów, mała 4, str. 200+XXX, Kor. —.80, w opr. Kor. —.90.

Kasprzewicz Jan. Ballada o słoneczniku i inne nowe poezye. Lwów, 1908, mała 8, str. 208. Kor. 3.60.

Kochanowski J. K. Szkice i drobne historyczne, serya II. Warszawa, 1908, mała 8, str. 368. rb. 1.80.

Konkurs na projekty budynków szkół ludowych wiejskich. 8 podł., str. 35, Warszawa, 1907. rb. —.60.

Kujawski Kazimierz. Towaroznawstwo. Podręcznik dla uczniów szkół han-

dlowych i pracowników w zawodzie kupieckim. Część I. 8, str. VIII+158, Warszawa, 1907. rb. —.75.

Kuśmierski Fr. Kurs stolarstwa. Podręcznik dla szkół technicznych rzemieślniczych i amatorów. 8, str. XI+133, Warszawa, 1908. rb. —.75.

Lecky H. E. W. Dzieje wolnej myśli w Europie. Tom I. Z osmnastego wydania angielskiego przełożyła Marya Feldmanowa. Łódź, 1908, 8, str. 449. Kor. 5.—.

Leppert Władysław. Uwagi w sprawie przyszłości przemysłu krajowego. 8, str. 20, Warszawa, 1907. rb. —.25.

Łubieńska Wentworth Anna. Legendy krynickie. Krynica, 1908, 8, str. 65.

Malinowski M. Ludowa samopomoc pieniężna w W. Ks. Poznańskim, w Galicji, w Czechach i w Koronie. 8, str. 38, Warszawa, 1908. rb. —.20.

Mayzel Wacław dr. Szkic biograficzny. Z powodu 35-lecia pracy zawodowej. 8, str. 5, Warszawa, 1907.

Menger A. Społeczne zadania prawa. Tłumaczył Karol Lutostański. Warszawa, mała 8, str. 32. rb. —.40.

Niedźwiedzki Zygmunt. Czarna pantera. Fraszki. Kraków, 1908, mała 8, str. 234. Kor. 3.20.

Nietzsche Fryderyk. Z genealogii moralności. Pismo polemiczne. Przełożył Leopold Staff. Warszawa, 1908, 8, str. 198. Kor. 5.20.

— Tako rzecze Zaratustra. Książka dla wszystkich i dla nikogo. Przełożył Wacław Berent. Wydanie tanie, całkowite. Warszawa, 8, str. 407+III. K. 4.20, rb. 1.60.

Norwid Cyprian. Assunta czyli spojrzenie. Poemat. Z autografu po raz pierwszy wydał Józef Kallenbach. Warszawa—Kraków, 1908, 8, str. 36. Kor. 1.50.

Omír. Złudzenia. 4, str. 23, Warszawa, 1907. rb. —.60.

Orzeszkowa Eliza. Iskry. Nowele. Tom II. 8, str. 149, Warszawa, 1907. rb. —.25.

Ostrzeniewski Aleksander. Do teorii mostów. Zasady dźwigni w wytrzymałości materiałów. Uwaga o przedstawieniu rysunkowo zmienności funkcji tang. 8, str. 44, Warszawa, 1908. rb. —.70.

Pamięci Jana Gadomskiego—Koledzy. 8 podł., str. 221, Warszawa, 1907. w opr. rb. 2.50.

Perzyński Włodzimierz. Pamiętnik wisiela. Nowele. 8, podł., str. 186, Warszawa, 1907. rb. 1.20.

Piekosiński Franciszek dr. Studya, rozprawy i materiały z dziedziny historii polskiej i prawa polskiego. T. VII. 1907, 8, str. VIII+138. Kor. 4.—.

Piotrowicz Stanisław. Napad na Przemysłów w r. 1715. Epizod z dziejów swawoli saskiej w Polsce. Kraków, 1907, 8, str. 22.

Poincaré H. prof. Sorbony, członek Akademii. Wartość nauki. Przekład Ludwika Silbersteina. Warszawa, 1908, 8, str. 178. Kor. 4.—.

— Nauka i hipoteza. Przekład M. H. Horwita pod redakcją Ludwika Silbersteina. Warszawa, 1908, 8, str. 198. Kor. 4.—.

Potocki Antoni (Jerzy Grot). Dzień powszedni. Nowele. Wyd. wznowione. Lwów, 1908, mała 8, str. 190. Kor. 2.60.

Reymont Władysław St. Na kręwdzi. Opowiadania. Na kręwdzi. — Z konstytucyjnych dni. — Sąd. — Cmentarzysko. — Zabiłem. — Czekam. 8, str. 261, Warszawa, 1907. rb. 1.35.

Richter P. F. prof. dr. Przemiany materii i jej choroby. Wstęp do nauki fizjologii i patologii przemiany materii dla lekarzy i studentów. Zbiorowe tłumaczenie z niemieckiego pod redakcją Kazimierza Rzętkowskiego. 8 w., str. XII+423, Warszawa, 1908. rb. 2.—.

Rodziewicz Marya. Anima Vilis. Powieść. Tom I. 8, str. 143, Warszawa, 1907. rb. —.25.

Shelley Percy Bysshe. Oedipus Tyrannus czyli Opuchłydziec król. Tragedya w dwóch aktach z oryginału doryckiego przetłumaczona. Z angielskiego przełożył Jan Kasprzewicz. Lwów, 1907, 8, str. 31. Kor. 1.50.

Sosnowski Jan. Anatomia i fizjologia człowieka. Podręcznik dla klas wyższych i szkół średnich. Z 130 rycinami w tekście. 8, str. 178, Warszawa, 1908. rb. 1.—.

Staff Leopold. Dzień duszy. Wyd. II. Lwów, 1908, 8, str. 156. Kor. 3.—.

Tołstoj Leon hr. Spowiedź. Tłumaczenie z rosyjskiego. 8, str. 117, Warszawa, 1907. rb. —.50.

Wilde Oskar. Mąż idealny. Sztuka w 4 aktach. Przekład Konrada Rakowskiego. Brody, 1908, 8, str. 108. Kor. 2.—.

Wittg Wiktor. Nieznana szlachta polska i jej herby. Przy współudziale Stanisława Dziadulewicz z 504 drzeworytami. Kraków, 1908, 8, str. 436. Kor. 25.—.

— Znaki pieczętne (gmerki) mieszczan w Polsce w XVI i zaraniu XVII wieku. Kraków, 1906, 8, str. VIII+175. Kor. 5.—.

Wszechświat i człowiek. Zeszyt 74. Dzieje rozwoju przyrody i człowieka. Opracowane pod redakcją H. Kremera. Przekład Stanisława Kramsztyka. 2,000 ilustracji i tablic kolorowych. 4, str. od 337—358, Warszawa, 1907. rb. —.40.

Zbierzchowski H. Grający las i inne nowele. Lwów, 1908, mała 8, str. 143. Kor. 1.20.

Zielewiczówna Marya. Nędzarze. Poemat dramatyczny w czterech odsłonach. Poznań, 1907, 8, str. 120. M. 1.60.

Zubrzycki J. S. dr. Skarb architektury w Polsce. Kraków, 1908, tabl. XIII—XX po Kor. 1.50.

Książki, w powyższym wykazie podane, nabywać można w księgarni

E. Wende i S-ka

(T. Hiż i A. Turkuł)

w Warszawie.

Fabryka Tabaczna
„NOBLESSE”
 w Warszawie.

poleca:
Papierosy i Tytonie.

LABORATORYUM DOKTORA
KARWACKIEGO
 Warszawa, Nowo-Jasna 6.

Wyrób kwaśnego mleka bułgarskiego, wyrób zaczynów suchych i płynnych. Skład główny zaczynów: Apteka K. WENDY

Krakowskie-Przedmieście 45. Warszawa
 Prospekty i literatura wysyła się na żądanie.

Znakomity podręcznik P. Bert'a
„KURS ELEM. NAUK PRZYRODNICZYCH”
 w przekładzie Anny Kratzer z 48 wyd. franc.

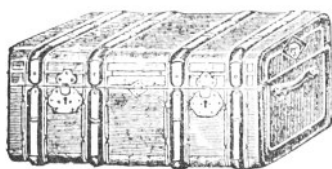
Tom I.—Rok pierwszy, dla dzieci od 7 do 10 lat, 50 kop. Tom II.—Rok drugi, dla dzieci od 10 do 12 lat 65 k. Tom III.—Rok trzeci, dla dzieci od 12 do 15 lat i r. 15 k.
 Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Stanisław Krause i S-ka

dawniej T. L. Breymeyer

Fabryka i Magazyn
 wszelkich przyborów do
 podróży, Konnej jazdy
 i Polowania.

Warszawa, Królewska № 1
 róg Krakowskiego-Przedmieścia.



Jedyna w kraju fabryka Kufrów trzcinowych.

DENTIPYRIN

C. Gierałtowskiego Prow. Farm.

Znakomity środek do czyszczenia zębów i płukania ust, odpowiadający wymaganiom higieny nadający białosć zębom i zabezpieczający je od psucia **zbadany** przez Dr. med. Nenckiego i Dr. med. J. Brunera.



Oszczędzacie

wieć niż połowę na czasie,
 pracy, mydle i opale, jeżeli
 kupicie sobie **maszynę do prania**
 „Cała Para” Johna.

Prospekty:
 Tow. Akc. J. A. John
 Warszawa, Włodzimierska 6.

Kupuję Brylanty złoto srebro
 kwity lombard

HENRYK JUWILER

Nowy-Swiat 59. 1-sze piętro front

Sprzedaje Biżuterję i srebra okazynie
 Kontentuję się małym zyskiem bo
 w mieszkaniu. telef. 55.28.

MILY DOKTOREK.

Doktor. No, jakże zdrowie pańskie?
 Pacjent. Liche. Coraz bardziej z sił
 opadam.

Doktor. Cóż robić! Wszyscy jeste-
 śmy śmiertelni, a pan **szczególnie**.

Brylanty złoto, srebro i kwity. lom-
 bardowe kupuję i sprzedaję. Placę
 najlepiej okazynie biżuterję sprzeda-
 jętanio. 1618

Zakład zegarmistrzowski i jubilerski
A. Duszke Marszałkowska 102.
 tel. 105-39. Egzystuje od r. 1887.



ANGELUS

Najdoskonalszy. ostatniej doby i najpopularniejszy SAMOGRAJĄCY PIA-
 NISTA, z zastosowaniem do każdego rodzaju fortepianu lub pianina.
 Własnymi głosami i rejestrami służyć może również jako MECHANICZNY
 ORGANISTA — tam gdzie fortepianu niema. Bogate kombinacje: SOLO
 FORTEPIAN, SOLO ORGAN LUB FORTEPIAN Z ORGANEM JEDNO-
 CZĘŚNIE. Uwydatnienie każdego instrumentu, akordu lub tonu. Swo-
 boda w zmianach tempa — ztąd LATWOŚĆ AKOMPANIOWANIA.

Dwa instrumenty w jednym!

Specyalne opłsove cenniki, oraz bogaty katalog nut mechanicznych dla
 ANGELUSA i SYMPHONY wysyła się bezpłatnie i franco.

HERMAN I GROSSMAN

St. - Petersburg w Warszawie, 16 Mazowiecka 16. Moskwa
 Morska 33. Kuźn. m. Zacharina d.

Główna Reprezentacja Fortepianów i Pianin Fabryki **C. BECHSTEIN**
 oraz ORGANÓW (MELODYKONÓW) NAJPIERWSZYCH FABRYK AME-
 RYKAŃSKICH I EUROPEJSKICH.

Wyłączność na Cesarstwo Rosyjskie i Królestwo Polskie
 sprzedaż na rozplaty miesięczne.

DLA KASZLĄCYCH I OSŁABIONYCH
EKSTRAKT I KARMELKI

LELIWA

w Warszawie, ul. Zielna № 21, Tel. 59 54.
 SPRZEDAŻ W SKŁADACH APTECZNYCH I APTEKACH

Najstarsza w kraju Fabryka

artykułów podróżnych i wy-
 kwintnych wyrobów skórzanых

B-ci Neuman

Warszawa, Bielańska 8 róg DANIELEWICZOWSKIEJ, tel. 14-10.

FRANCUSKIE WINO
 Szampańskie

Doyen

Żądać wszędzie.

FRYZYER Trębacka 2
S. BRODZKI tel. 197 - 16.

pod zarządkiem znanego specjalisty Adolfa Brodzkiego. Salony damski i męski
 Pierwszorzędni współpracownicy. Wielki wybór postiches i wyrobów z włosów
 modele paryskie. Perfumerya. Kosmetyki. Przybory toaletowe. Ceny fabryczne.

Gazeta Przemysłowo-Handlowa

PISMO TYGODNIOWE

Organ Koła Przemysłowców.

Redakcyja i Administracyja: Warszawa, Boduena 5.
 Telefonu 62-59. Skrzynka pocztowa 397.

PRENUMERATA: rocznie 12 rb., półrocznie 6 rb., kwar-
 talnie 3 rb., miesięcznie 1 rb., z przesyłką lub odnośnieniem.